

JAKIEJ EUROPY NIE CHCEMY?

Tomasz Wróblewski



Spis treści

Opowieść o Unii	3
Skąd strach przed światem?	4
Dlaczego europejskie gospodarki pozostają w tyle za resztą świata? ...	11
Niewola słowa. Cenzura istotą unijnego ładu	20
Kto naprawdę rządzi Unią?	28
Jak korporacje i marksiści zrobiły z UE biznes?	35
Taniec pozorów i fałszywych obietnic przed eurowyborami	41
Twoje podatki, czyli ostatni krok euro-integracji	47

Wesprzyj

WOLNOŚĆ W REMONCIE na



PATRONITE

patronite.pl/wolnoscwremoncie





OPOWIEŚĆ O UNII

Opowieść o Unii można snuć linearnie jako drogę do doskonałości ustrojowej i dobrobytu obywateli. Od integracji ekonomicznej przekładającej się na dobrobyt obywateli do naturalnej konwergencji politycznej. Nawet jeżeli ta droga czasem wyda się komuś wyboista, utkana kryzysami czy dyrektywami uprzykrzającymi życie, to ostateczna nagroda, wizja, jak ją malował w 1950 roku Robert Schuman w sławnej Deklaracji, miała być warta wyrzeczeń. Z tej perspektywy, projekt wydaje się jednak mocno niedoskonały. Nadzieje na wieczny dobrobyt Europejczyków rozwiewają brutalne dane makroekonomiczne. Poczucie bezpieczeństwa nie broni się w obliczu narastającej fali przestępczości, spadek nominalnych płac oddaje faktyczny stan euro-stagnacji, a mit państwa socjalnego pęka w szwach przeciążonej migrantami służby zdrowia i zawrotnych cen mieszkań.

Ale jest też inna opowieść o Unii. Opowieść wychodząca z historycznych ambicji, dawnych mocarstw kolonialnych, Francji, Włoch, Belgii, Holandii i poniekąd Niemiec. Opowieść o integracji politycznej, której nadrzędnym celem jest konserwowanie wpływów tych kilku zachodnich stolic. I z tej perspektywy Unia jest historycznym sukcesem. Tezę po raz pierwszy postawił Timothy Snyder w książce „Droga do Niewolności”, gdzie stwierdził, że Unia Europejska nie była żadną wspólną inicjatywą pokojową, ale przebie-

głym planem zachowania dawnych wpływów. Zachodnie mocarstwa mimo utraconych kolonii, przewag rynkowych, karłowatych armii i topniejącej populacji zachowały wiele ze swoich dawnych wpływów.

Wymyślna sieć demokratycznych, rynkowych umów i wzajemnych zależności pozwoliła kilku państwom, ze strzępów dawnej świetności, stworzyć post-mocarstwowy oligopol kontrolujący niemal cały kontynent.

Zgodnie z teorią Johna Ikenberry'ego, o której pisze w książce „Po Zwycięstwie”, Unia Europejska stworzyła, bodaj czy nie najdojrzalsze politycznie mocarstwo w dziejach kontynentu. Dawne mocarstwa na nowo błyszcząły w świecie, a sam fakt, że Bruksela reprezentuje rynek 450 mln zamożnych obywateli, pozwala jej narzucać reguły gry reszcie świata. Mimo że reprezentuje ona zaledwie 18 proc. globalnego PKB. Stąd też, z politycznego punktu widzenia, UE jest historycznym osiągnięciem.

Pytanie, na ile trwała jest ta formuła? Czy sprawdzi się w nowym geopolitycznym otoczeniu? No cóż, stawiamy pytanie, na które nie damy twardej odpowiedzi. Wychodzimy z założenia, że tych kilka esejów opisujących zachodzące wokół nas procesy zostawi każdego z głębszą refleksją niż jakiegokolwiek prognozy pisane w niepewnych czasach.

SKĄD STRACH PRZED ŚWIATEM?

Czasem drobne rzeczy potrafią wybić nas ze złudzeń normalności. Mnie do nowego sezonu Wolności w Remoncie natchnął raport Banku Światowego, prognoza na 2024 rok, który zaczyna się od słów: *Świat stoi w ogniu. Żyjemy w epoce wyzwań, którym nie jesteśmy w stanie podolać. Instytucja, której misją jest nieść otuchę i kredytować każdy ambitny pomysł na ziemi, publikuje raport, który odziera nas ze złudzeń.*

Co takiego się wydarzyło? Co sprawiło, że Bank, który widział niejedną ludzką tragedię, traci nadzieję? Jakież to wyzwania przerastają nasze możliwości? Z czym przychodzi nam się mierzyć, z czym nie mieli do czynienia nasi ojcowie czy dziadowie? Świat oczywiście mógłby być lepszym miejscem do życia, pytanie tylko z czym go porównujemy? Kiedy świat był lepszy? Kiedy wyzwania były mniejsze, a świat bardziej sprawiedliwy? Kiedy wielcy tego świata nie wykorzystywali małych, kiedy bogaci byli szczerzy, a podwładni nie mieli powodów do narzekania? Kiedy?

Nie ma idealnego świata. Nie istnieje coś takiego jak pełna równość i sprawiedliwość. I tak po prawdzie, lepiej na ziemi nigdy nie było. Żyjemy w najlepszym ze wszystkich światów.

Z wyjątkiem może miejsc, gdzie toczą się wojny albo rządzą despoty. Głód wszędzie na ziemi został wyeliminowany, a naszym zmartwieniem jest nadprodukcja. Śmiertelność dzieci jest najniższa w historii. W ciągu niespełna trzech dekad spadła o ponad połowę – z 12,5 miliona w 1990 roku do 5,2 miliona w 2019 roku.

Są oczywiście ludzie, którym się w życiu nie powiodło. **660 milionów osób żyje poniżej granicy ubóstwa, ale to jest trzykrotnie mniej niż 30 lat temu, mimo że jest nas o 60 procent więcej na ziemi.** Wciąż jakieś 165 milionów dzieci zmuszanych jest do pracy – jakieś 5 procent całej populacji. Ale 20 lat temu to było 23 procent. W 1820 r. tylko 12 procent ludzi na świecie potrafiło czytać i pisać, dziś tylko 14 procent nie potrafi czytać. A mimo to defetyzm, poczucie historycznej niemocy, są wszechobecne. Od Banku Światowego po media, od polityków po aktywistów, żyjemy w przekonaniu, że idziemy na dno. Skąd się to bierze?

Uczeni studiujący przełomowe momenty w dziejach ludzkości – rewolucje, powstania, boomy i zapaści gospodarcze, zwykle szukają źródeł wielkiej zmiany w historycznych trendach czy procesach społecznych wyprzedza-

jących dramatyczne zdarzenia o dziesiątki, jak nie setki lat.

Historyk gospodarczy Robert Allen, gigant, jeżeli chodzi o dzieje rewolucji przemysłowej, pisał, że rewolucję industrialną poprzedziły zaawansowanie na rynku energii. Spadek cen dzięki większej eksploatacji węgla dał impuls do rozwoju produkcji przemysłowej, co gwałtownie zwiększyło zapotrzebowanie na pracowników, którym trzeba było więcej płacić, rosnące koszty pracy napędzały innowacje, a rosnące marże tworzyły nowe miejsca pracy.

Historycy, jak John Nye, tłumaczą boom gospodarczy na przełomie XVIII i XIX wieku powstaniem stabilnych instytucji od sądownictwa po banki i urzędy regulacyjne. Jeremy Black twierdzi, że krytyczna dla wzrostu była demografia i dalsza urbanizacja. Przełomowa praca w tej materii, książka holenderskiego historyka Joela Mokyra „A Culture of Growth” dowodzi, że na długo przed maszyną parową i eksplozją demograficzną XIX wieku, zmiany zachodziły w sferze kulturowej. „Republika Listów”, jak pisał Mokyra o debacie epistularnej, wymianie myśli, która sto lat przed rewolucją pochłaniała największe umysły ówczesnego świata. Ludzie jak Edmund Burke, Karol Darwin, Francis Bacon i Isaac Newton w poszukiwaniu naukowych odpowiedzi na egzystencjalne problemy, tworzyli środowisko idei, które z czasem przenikały do społeczeństwa.

Czwórka innych ekonomistów przeanalizowała zawartość 173 tysięcy książek wydrukowanych w Anglii w latach 1500–1900 i śledziła najbardziej nośne i popularne dla swojej epoki terminy. Pokazali, jak na przestrzeni lat rośnie wykorzystanie słów kojarzonych z postępem i innowacjami.

John Burn Murdoch wykonał ostatnio analogiczną pracę na bazie Google Ngram Viewer, przeanalizował trendy słowne za ostatnie pół wieku i okazuje się, że częstotliwość występowania terminów związanych z postępem, poprawą i nadzieją spadła o jakieś 25 procent w ciągu ostatnich 60 lat. Kilukrotnie przybyło natomiast ostrzeżeń przed czyhającym nas niebezpieczeństwem, wskazań na „zbędne ryzyka”.

Niezależne potwierdzenie trendu znajdujemy w opracowaniu PricewaterhouseCoopers,

które zauważa, że wartość inwestycji wysokiego ryzyka, mimo rosnącej koniunktury, spadła o prawie 10 procent w ciągu ostatnich 5 lat i nie powróciła do poziomu sprzed kryzysu 2008 roku. Defetyzm, rezygnacja i demonizowanie przeciwności stały się znakiem rozpoznawczym naszych czasów.

Od początku rosyjskiej agresji zachodni politycy odradzali Ukrainie obronę, potem – *dogadajcie się i oddajcie Rosji Krym*. Ileż to mieliśmy hamletyzowania w sprawie uzbrojenia, teraz wokół zamrożonych rosyjskich funduszy, których Europa nie chce przeznaczyć na pomoc dla Kijowa. Gdyby współczesnym politykom kazać mierzyć się z wrogiem pod Agincourt w 1415 roku z pięciokrotnie większymi siłami Francuzów, to z pewnością radziliby Henrykowi V, żeby uciekał na północ. Co by poradzili Stefanowi Żółkiewskiemu w 1610 roku, kiedy ze swoimi 6 tysiącami zbrojnych stanął opodal 30 tys. armii Szujskiego? Czy dziś 100 tysięcy angielskich kolonizatorów podjęłoby się zarządzania 300 milionami Hindusów?

John Haltiwanger, ekonomista z Uniwersytetu w Maryland zauważył, że niechęć do podejmowania ryzyka, zarówno przez firmy, jak i osoby prywatne, jest jedną z przyczyn stagnacji gospodarczej. *To nie jest kwestia jednego z drugim kryzysów. To stan mentalny, strach, chroniczna awersja przed ryzykiem.*

70 lat temu George Kennan w długim sławnym telegramie z Moskwy pisał, że wynik zmagania Zachodu z sowiecką Rosją (...) *zależy od wigoru społeczeństwa. Zdolności do rozwiązywania wewnętrznych problemów, większej pewności siebie, dyscypliny, morale i ducha wspólnoty naszego narodu. Jeśli nie możemy porzucić fatalizmu i obojętności w obliczu niedociągnięć naszego własnego społeczeństwa, Moskwa na tym skorzysta.*

Dziś Kennan nie odnalazłby już w nas dawnej witalności. Społeczeństwa, które niegdyś potrafiły się zmobilizować, skoncentrować i zdecydować wobec jednego planu, są dziś kłębkami niepokojów politycznej hipochondrii.

Nie ma na to jednej odpowiedzi. Starzejące się społeczeństwa z natury rzeczy są ostrożniejsze i unikają ryzyka. Także demografia to jedno, kolejny powód – przesył. Na pewnym poziomie

dobrobytu i poczucia bezpieczeństwa społeczeństwa zatracają dawną czujność i nie starcza im wyobraźni, że rosyjski imperializm równie dobrze może dotknąć ich samych, tak jak niegdyś niemiecki.

Tołstoj w „Wojnie i Pokoju”, ustami Piotr Bezuchowa, który to doznaje duchowego przemienienia we francuskiej niewoli, wypowiadał znamienite słowa: *Piotr nauczył się, nie umyśłem, ale całą swoją istotą, swoim życiem, że człowiek jest stworzony do szczęścia, że szczęście jest w nim, acz wszelkie nieszczęścia nie pochodzą z braku, ale z nadmiaru dobrobytu.* Dobrobyt ogołocony z wiary, wartości wyznaczających cel w życiu, bardziej niż niedosyt odbiera nam wolę walki – wolę „chcenia”, bez której nie sposób wyznaczyć drogi do szczęścia, skoro nie wiemy, co ma nim być.

Czy nasze wyobrażenia o tym, co jest ważne dla ludzkości, są dziś na tyle spójne, żebyśmy stawiali nasze katedry?

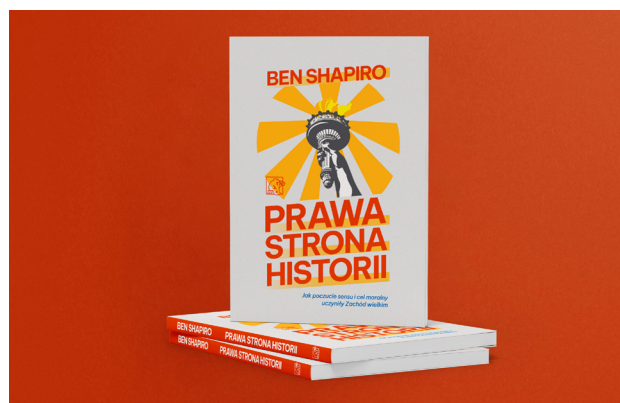
Niemiecki poeta Heinrich Heine zapytany, dlaczego ludzie nie budują już takich wspaniałych katedr, odpowiedział: *Ludzie w dawnych czasach mieli przekonania; my, współcześni, mamy tylko opinie. A do wzniesienia gotyckiej katedry potrzeba czegoś więcej niż tylko opinii.*

Budowa katedry w Notre Dame trwała 180 lat, w Kolonii – 632 lata. Czy nasze wyobrażenia o tym, co jest ważne dla ludzkości, są dziś na tyle spójne, żebyśmy stawiali nasze katedry? My nie możemy nawet postawić CPK, spiąć się, żeby wybudować lotnisko z prawdziwego zdarzenia, bo każdy ma swoje opinie, które jedynie oddają nasz stan ducha, zniechęcenie i zwątpienie – a to za drogo, a to mierzymy zamiary na możliwości, chora gigantomania. Po co komu katedry?

Co określa nam cel w życiu? Szczęście. Kiedy człowiek może być szczęśliwy? Arystotelesowska „Eudaimonia” podobnie jak Biblia, czy pięć ksiąg Tory, nie definiowała szczęścia jako indywidualnej satysfakcji. Prawdziwie szczęśliwy człowiek to nie jest ktoś, kto zdobył wymarzoną torebkę Hermesa czy dosiadł wreszcie własnego Harleya. To są tylko chwile. **Szczęście to**

dobrze przeżyte całe życie. Jak dobrze przeżyć życie? Przede wszystkim trzeba wiedzieć, czym jest dobro.

Dla Arystotelesa, ojca zachodnich wartości, „dobro” nie było czymś indywidualnym i subiektywnym. To nie było coś, co każdy sam sobie ustalał i mógł na tym poprzestać. „Dobro” dla Arystotelesa było stwierdzeniem obiektywnego faktu. Coś było „dobre”, jeśli spełniało swój cel. Tak jak dobry zegarek nie jest dobry, bo jest ze złota, ale dlatego, że wskazuje dobrą godzinę – tłumaczył Ben Shapiro w doskonałej książce „Prawa strona historii”.



wydawnictwo.wei.org.pl

Co robi dobry człowiek? Działa zgodnie z rozumem, czyli zgodnie z jego przeznaczeniem. Rozum służy do zgłębiania świata. Po co go zgłębiać? Bo lepsze rozumienie pozwala nam poprawiać nasze najbliższe otoczenie. Po co mamy poprawiać nasze otoczenie? Bo w nim zasada się nasze bezpieczeństwo. Człowiek może być bezpieczny tylko w grupie. Tak zostaliśmy stworzeni.

Victor Hanson w porywającej książce „Umiejętny Obywatel” przypomina, że jednostka, niezależnie jak silna, sama w tym świecie nie przetrwa. Granicą naszej wielkości i naszych talentów są granice rozwoju naszej wspólnoty. Stąd dążenie do szczęścia zawsze będzie musiało uwzględniać racje państwa, narodu i zdobywanie uznania najbliższego otoczenia. Rzecz w tym, że świat i otoczenie cały czas ulegają zmianom, także nasz umysł też musi dostosowywać się do realiów. Skąd mamy wiedzieć czy postępujemy dobrze, skoro świat się zmienia? Nigdy do końca nie będziemy tego wiedzieć.

Dlatego też popełniamy błędy. Pozostaje pamiętać o innych instynktownych, naturalnych prawach rządzących człowiekiem. Bezpieczeństwo to jedno, a dalsze to prawo do życia, prawo do szczęścia, do religii. Podążając za *lex naturalis* – zgodnie z prawem natury, którego człowiek jest emanacją, dalej nie unikniemy błędów, ale przynajmniej łatwiej wyznaczymy sobie cele w życiu. Koncepcja prawa naturalnego zajmowała myślicieli od zarania cywilizacji. Platon, Arystoteles, Seneka w starożytnym Rzymie, św. Augustyn, św. Tomasz z Akwinu.

Ale też, jeżeli sięgnięcie do bardziej współczesnych autorów – Władysław Tatarkiewicz w traktacie „O szczęściu”, w swoich rozważaniach o prawie do szczęścia stawia warunek: *nie być gałganem dla innych*.

Sekret szczęścia jest bardzo prosty: niech twoje zainteresowania będą jak najszersze i niech twoje reakcje na rzeczy i osoby, z góry przyjazne.

Bertrand Russel kończy swój esej o „Podboju Szczęścia” słowami: *Sekret szczęścia jest bardzo prosty: niech twoje zainteresowania będą jak najszersze i niech twoje reakcje na rzeczy i osoby, z góry przyjazne.*

Ten nasz wielki cywilizacyjny projekt, wiecznie udoskonalany i dostosowywany, wyrósł z prostych fundamentalnych wartości moralnych. Od Aten przez Jerozolimę, Rzym, Londyn, po Filadelfię i znowu po Rzym – i pierwsze traktaty wspólnoty europejskiej, jak je opisał Robert Schuman. To kręta droga przez niezliczone rafa ludzkich słabości i dewiacji, aż po burzach historii nadchodziło przebudzenie i silniejsi na nowo interpretowaliśmy nasze fundamentalne wartości w nowych okolicznościach świata. Starożytni Grecy dali nam istotę prawa, Judaizm – wymiar moralny, Chrześcijaństwo – koncept łaski i bezgranicznego dobra, które rozsmarowało starożytny moralny koncept praw naturalnych po wszystkich kontynentach i dało sens istnienia kolejnym generacjom.

To była determinacja Karola Młota w 732 roku pod Poitiers odpychającego potężnych sarracenów od zachodniego świata. To jest wezwanie Urbana II i Synod w Clermont rozpoczyna-

jący pierwszą wyprawę krzyżową, łączącą w poszukiwaniach grobu Chrystusa tysiące rycerzy, chłopów i mieszczan. Potem Magna Carta pierwsza wielka karta zachodnich swobód podpisana przez króla Jana w 1215 roku, która wyznaczała granice władzy monarchicznej. W 1648 roku po 30 latach wyniszczającej wojny, Traktaty Westfalskie ustanowiły pokój w mądrości przyznającej narodom prawo do własnej religii. W 1688 roku przez Anglię przetacza się Światła Rewolucja, której znakiem rozpoznawczym będzie dzieło Johna Locka „List o tolerancji”. I wreszcie amerykańska Deklaracja Niepodległości, uwieńczona Pierwszą Demokracją Parlamentarną, pisana w duchu praw naturalnych, otwierająca drogę milionom do demokracji.

Politycy i publicyści, zwykle niepomni długiej historii zachodniego systemu wartości, istotę naszej europejskiej moralności sprowadzają do demokracji, tolerancji i praw człowieka. Wszystko to wspaniałe cnoty i narzędzia, ale tylko narzędzia. Francuski historyk Pierre Rosanvallon w swojej książce „Dobre rządy” pisał, że demokracja to układ, a nie ideologia. Układ, w którym ludzie wybierają lub obalają rządy. Przestrzegaj przed fetyszowaniem demokracji. *Wartości to jest coś, czym ludzie w demokracji kierują się, dokonując wyborów, a nie ideologia, która sprawia, że mają wartości* – pisał Rosanvallon. Przypisywanie narzędziom wartości mających zastąpić starożytny system moralny to innowatorski koncept zrodzony z postmodernistycznych rozważań akademickich czy obrad gabinetu Komisji Europejskiej. Podobnie zresztą, jak nie ma czegoś takiego jak wartości europejskie kontra wartości amerykańskie. Nie ma dwóch różnych dróg do zachodniej cywilizacji. Jest jedna, ta, którą w skrócie naszkicowałem. Nie można tej opowieści traktować wyrywkowo, pozbawiać jej ateńskich zmagania o własną konstytucję, zapominać znaczenia żydowskich doznań religijnych czy negować znaczenia Chrześcijan dla demokracji i praw człowieka. Świat zachodni, Zachodnia Cywilizacja to jest jedna spójna opowieść. System wartości, który dążąc do perfekcji, od wieków jest ściśle powiązany z każdym z kolejnych etapów naszego rozwoju. Tolerancja według ojca samego konceptu, Johna Locka, nie jest czymś, co zastąpić może wierzenia. *Tolerancja jest tak zgodna z Ewangelią Jezusa Chrystusa i prawdziwym rozumem ludzkości, że wydaje się po-*

*tworne, aby ludzie byli tak ślepi, by nie dostrze-
gać konieczności i korzyści z niej płynących
w tak jasnym świetle.*

William Magnuson, autor książki „Prawo i Bóg”, wykazuje nierozzerwalny związek wiary z prawem, na którego fundamentach stanęła zachodnia demokracja. *Ateńczycy wielbili swoje demokratyczne prawa z religijną czcią.* Grecka mitologia głosiła, że to Zeus, król bogów, jako pierwszy dał człowiekowi prawo. Arystoteles napisał, że wiara umożliwiła prawo możliwym. *Bo tak jak człowiek jest najlepszym ze zwierząt, gdy jest udoskonalony – pisał Arystoteles – tak jest najgorszym ze wszystkich, gdy jest ode-
rwany od wierzeń.*

Te same prawa naturalne, zakręt za zakrętem pozwalały nam wychodzić z największych opresji dziejowych. Przełamując zbrodnię na rozumie rewolucji francuskiej, odnajdując dość siły i ducha, żeby otrząsnąć się z bolszewickiej zarazy, faszystowskiego ludobójstwa, zbrodniczego kolektywizmu maoistów.

Victor Hanson we wspomnianej już książce „Umierający Obywatel” twierdzi, że nasza cywilizacja zatacza wielkie koło od ateńskiej demokracji z powrotem do społeczeństw plemiennych pozbawionych moralnej ciężkości.

Feliks Koneczny, polski historyk dziejów tworzący na przełomie XIX i XX wieku, twierdził, że plemiennosc nie jest czymś, co powinniśmy kojarzyć z jaskiniami, zbieractwem i prymitywnymi ludami. To raczej porządek społeczno-polityczny, zwykle oparty na więzach krwi, rasie, wspólnocie klasowej czy nawet narodowej. Takim plemiennym porządkiem politycznym była komunistyczna Rosja oparta na wspólnocie klasowej. Oczywiście na koniec niewiele miało to wspólnego z konfliktem klas, ale semantyka odnosiła to do klasycznego modelu budowania wspólnoty na niechęci do innych. Do kapitalistów, do Żydów, do Polaków. *Widmo nawiedza Europę – widmo komunizmu* – tak zaczynał się „Manifest komunistyczny” Marksa. Czym było to widmo? Niczym innym jak negacją ateńsko-chrześcijańskich norm demokratycznego współżycia.

Zniesienie własności prywatnej miało położyć kres alienacji społecznej. Rozmontowanie więzi

rodziny miało położyć kres wyzyskowi dzieci przez rodziców i żon przez mężów. Wszyscy pamiętają ostatnie słowa „Manifestu komunistycznego”, apel do proletariatu, żeby się łączyli, ale zdanie poprzedzające jest krytyczne dla zrozumienia plemiennego wymowy dokumentu: *Cele mogą zostać osiągnięte jedynie poprzez siłowe obalenie wszystkich istniejących warunków społecznych.* Wszystkiego, co z bezładnego pudła ludzkich puzzli czyni wspólnotę. Czyli świata, gdzie choć każda jednostka jest indywidualnością i każdy może różnić się od siebie, to razem stanowią wspólnotę opartą na tym samym systemie wartości. Dla Marksa wrogiem ostatecznym był właśnie starożytny system wartości.

Marks rozumiał, że nie da się zrobić rewolucji bez odrzucenia porządku na prawie naturalnym. Argument pół wieku później rozwinął włoski socjalista Antonio Gramsci, który twierdził, że przyczyna, dla której nie doszło do rewolucyjnego zrywu przy okazji I wojny światowej, tkwiła w naszych zaszczościach kulturowych. *Człowiek jest przede wszystkim umysłem, świadomością – to znaczy, że jest wytworem historii, a nie natury.* Gramsci pierwszy mówił o wędrówce przez instytucje i rozmontowywaniu wszystkiego, co łączyło nas z historią i starożytną cywilizacją Zachodu.

Gramsci zmarł w więzieniu Mussoliniego, ale jego filozofia była kontynuowana przez akademików Szkoły Frankfurckiej, grupy niemieckich uczonych, pod duchowym przywództwem Maxa Horkheimera, który stworzył koncept Teorii Krytycznej. Czyli, że istotą poznawania historii jest umiejętność jej krytykowania przez pryzmat poszkodowanych. Bo zawsze ktoś jest poszkodowany i zawsze pozwala na odrzucenie tradycyjnych prawideł, które doprowadziły do krzywd. Poszkodowane grupy miały organizować się w odrębne tożsamości, coś na wzór plemiennych organizacji, których istotą bytu będzie konflikt z innymi grupami, ostatecznie rozsadzającym wspólnotę zbudowaną na historycznym fałszu.

Uczni Szkoły Frankfurckiej uciekli z Niemiec po dojściu Hitlera do władzy i wyładowali w Ameryce. Tu na nową gwiazdę ruchu wyrósł Herbert Marcuse, protoplasta Nowej Lewicy. Szczególna indywidualność, która wojnę tożsamości oparta o freudowski niepokój seksualny.

Marcus napisał książkę „Eros i cywilizacja”, w której argumentował, że represyjna seksualność zniszczyła ludzkość i że tylko uwolnienie człowieka od jego wiktoriańskiej, czyli pruderyjnej mentalności, może być ruiną, na której powstanie nowy świat. Według Marcusa, kapitalizm ukształtował nas w taki sposób, że staliśmy się niewolnikami reżimu korporacyjnego i ta sama logika obowiązywała w ich życiu seksualnym. Seks służył do robienia dzieci i stawał się obowiązkiem jak odbijanie karty w fabryce. *Teraz ciało w całości stanie się przedmiotem kateksji, czyli rzeczy, którą należy się cieszyć – narzędziem przyjemności.* Każdy sam sobie będzie wybierał co go pobudza seksualnie i co ma zamiar z tym robić. Rodzina nie jest celem seksu. Celem seksu jest seks, a nie prokreacja. Jak tylko to sobie uświadomimy, to ogarnie nas pełna szczęśliwość – przekonywał do swojej nowej religii Marcuse. *Jeżeli zrzucimy z siebie Bariery absolutnej satysfakcji, to nikt nie będzie mógł ich wykorzystywać do alienowania ludzi. Seks nas wyzwoli.*



„Make love not war” – to tylko jedno z nośnych haseł Marcusa. Do niego należał też termin „represyjna tolerancja”. Twierdził, że tolerancja wymaga nietolerancji wobec historycznych dogmatów kulturowych. Tolerancja represyjna musi być stosowana wobec tych, którzy narzucają ludzkości tradycyjne role i stają na drodze do wyzwolenia seksualnego. Idea tylko na pozór była nowatorska. Zarówno Staliści, jak i Maoiści opowiadali się za destrukcją jako drogą do wiecznego pokoju. W 1958 r., na progu rewolucji kulturalnej, Mao nawiązał do pierwszego chińskiego cesarza Qina, który kazał zakopać żywcem 460 uczonych, żeby zerwać z dawnym porządkiem. *My – z dumą mówił Mao – pochowaliśmy żywcem 46 000 uczonych. Wy [intelektualiści] oczerniacie nas za to, że jesteśmy Qin Shihuangami. Jesteście*

w błędzie. Przewyższyliśmy Qin Shihuanga stokrotnie.

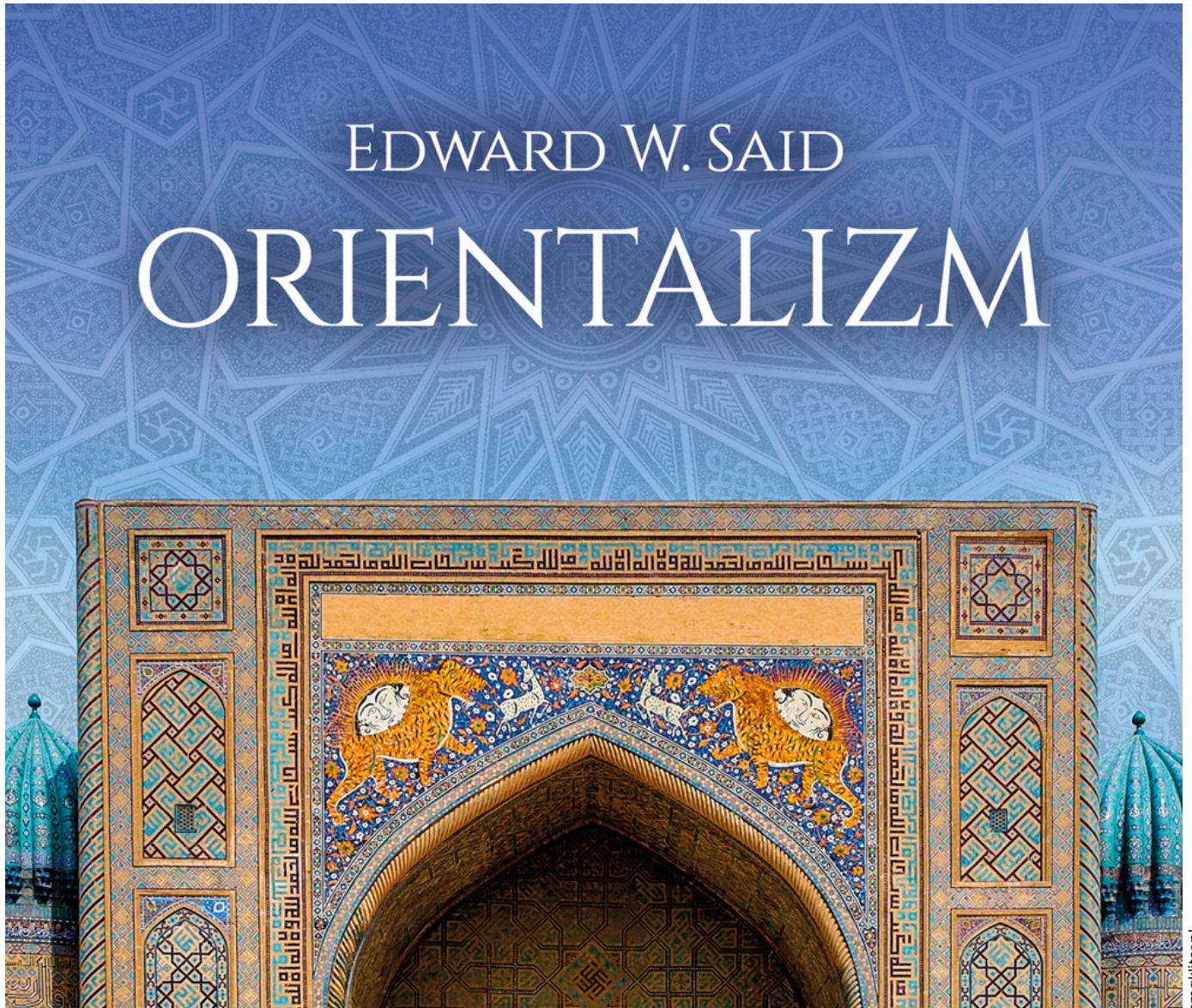
Grigorij Zinowiew, jeden z pierwszych członków Biura Politycznego, później zgładzony przez Stalina, twórca konceptu Czerwonego Terroru, mówił: *Musimy przekonać do siebie 90 milionów ze 100 milionów mieszkańców Rosji Sowieckiej. Co do reszty, nie mamy im nic do powiedzenia. Muszą zostać unicestwieni.*

U Marcuse’a zachłyśnięte seksualną beztróską, wyzwolone jednostki miały dalej łączyć się w tożsamości podobnie czujących. Plemiona ras, płci i miłosnych kreacji. Profesor Kimberlé Crenshaw z Uniwersytetu Columbia, już całkiem współcześnie doszła do wniosku, że każda z tych wyzwolonych tożsamości sama jest zbyt słaba, żeby wyzwolić świat ze starożytnych kanonów. Konieczna jest koalicja wszystkich wyzwolonych. Wspólnota Woke. Intersekcyjny ruch z własną teorią naukową gender o współistnieniu różnych plemion płciowych, seksualno-obyczajowych, LGBTQ, do którego z czasem dołączały rasy i kasty ideologiczne, jak choćby klimatyści.

Rzeczywistym celem, jak przyznaje Crenshaw, jest zepchnięcie do defensywy wszystkich, którzy nie są członkami tych intersekcyjnych grup – zmusić ich do wyrzekania się swoich przywilejów obywatelskich, czyli usuwania z życia publicznego wszystkiego, co łączyło ich jeszcze z dawnym obywatelskim światem.

Biali muszą zrzec się swojego białego przywileju lub zostać wyrzuceni za nawias społeczeństwa; mężczyźni muszą uznać swoją toksyczną męskość. Wspomniany Victor Hanson uważa, że ogromne znaczenie, jakie progresywne środowiska przywiązują do legalizacji nielegalnych migrantów i do masowej inwazji południowych nacji do Europy i Ameryki, to też nic innego jak próba zdemontowania starożytnego konceptu obywatela. Coś, co było fundamentem zachodniej cywilizacji w tym ustroju demokratycznym.

Narzędziem dyscyplinującym krnąbrnych ma być *cancel culture*, izolowanie i stygmatyzowanie każdego, kto nie podporządkuje się nowemu słowotwórstwu, nowej nomenklaturze, nowej kulturze relatywizmu. Totalna krytyka



kulturalna, rasowa, płciowa uczy nienawidzić każdego, kto jest pasem transmisyjnym do cywilizacji, która nas uformowała.

Wybitny student Sartra, Edward Said, umiędzynarodowił egzystencjalne pojęcie kultury wykluczenia. Głosił konieczność rozmontowania wszystkich krytycznych aspektów zachodniej cywilizacji, żeby stworzyć warunki do budowy nowego sprawiedliwego ładu politycznego.

Jego najważniejsza praca „Orientalizm”, robiła karierę na amerykańskich uczelniach jako podstawowa lektura na zajęciach z przemian ideowych. Na orientalizmie wychowały się po-

kolenia współczesnych profesorów, polityków, aktywistów i dzieci aktywistów.

Po co ja to wszystko opowiadam? To tło do nowego cyklu Wolności w Remoncie, opowieści jak demontaż zachodniego porządku moralnego płynnie przeistacza się w nowe ideologiczne formaty społeczno-ekonomiczne woke obudowanej ruchami społecznymi LGBTQ, antifa, Black Life Matter, klimatycznej anihilacji i korporacyjnymi narzędziami jak ESG. Im silniejsze, tym większą zostawiają pustkę moralną wpędzającą nas w ten stan bezsilności, desperacji i przekonania o zbliżającej się katastrofie. To tło do zrozumienia przemian w naszym najbliższym otoczeniu Unii Europejskiej.

Wesprzyj
kanał
WOLNOŚĆ
W
REMONCIE
na



PATRONITE



patronite.pl/wolnoscwremoncie

DLACZEGO EUROPEJSKIE GOSPODARKI POZOSTAJĄ W TYLE ZA RESZTĄ ŚWIATA?

Wielki projekt Ever Closer Union – pogoń za coraz spójniejszą i coraz większą Europą – to opowieść o tym, jak ambicje polityczne dawnych mocarstw zaprzeczają marzenia i szanse na lepszą Europę.

Bez zbędnej dyskusji i pytań Rada UE w grudniu jednogłośnie przyjęła projekt zmiany traktatów. W 65 obszarach rządy mają zrzec się suwerenności na rzecz Komisji Europejskiej i jej urzędników.

To oczywiście nie stanie się natychmiast, wszystko w Unii trwa, choć ostatnio procesy konsolidujące władze Komisji przebiegają coraz szybciej. W każdym razie uproszczona procedura, czyli bez zbędnych referendum narodowych, już się toczy. Debata o przyszłości Unii była krótka i nawet nie specjalnie burzliwa, choć sam koncept odebrania państwom prawa weta jest rewolucyjny na miarę traktatów rzymskich.

Argument za utrzymaniem prawa weta głównie podnosiły małe i średnie kraje, w obawie, że stracą wpływ na krytyczne decyzje w Unii. Z kolei argument za zniesieniem prawa weta, który forsowały Francja i Niemcy, odwołuje się do

epokowej wizji Super Unii – 35, kiedyś może 38 państw i jakichś 600 mln mieszkańców, którymi nie sposób byłoby zarządzać bez spójnej struktury i decyzyjnego rządu. Według zwolenników zmian Unia przekształcona w Super Federację miałaby uwolnić się od swoich odwiecznych słabości – głównie niezbornego procesu decyzyjnego, co ponoć jest powodem, dla którego nasze znaczenie w świecie maleje zamiast rosnąć.

Brzmi sensownie, ale ani argument za, ani przeciw federalizacji Europy nie odnosi się do istoty problemu. Czyli pytania o dobrobyt samych mieszkańców Europy. Czy nowa architektura Europy sprawi, że będzie nam się żyło lepiej i dostatniej? Bo to, że euro-elity, że Niemcy, że Francja – upatrują w konsolidacji politycznej swoją szansę, to już wiemy, ale co z pozostałymi 280 milionami?

Najpierw koncept federalizacji, bo on tu nam sporo namieszał. Na świecie mamy kilka państw federacyjnych, ale ich wszystkie – stany, landy czy kantony cieszą się daleko rozwiniętą suwerennością i niezależnie od liczby mieszkańców, równym prawem w zgromadzeniu narodów. Stan Delaware, liczący milion mieszkańców,

w amerykańskim Senacie ma dwa głosy, tak jak 40-milionowa Kalifornia. To samo dotyczy niemieckich landów czy szwajcarskich kantonów. Władze centralne zachowują kontrolę nad polityką monetarną, zagraniczną, obronną i kilkoma monopolami, ale zapewniają lokalnym rządcom daleko idącą niezależność.

Projekt reformy unijnych traktatów większość obszarów podporządkowuje Brukseli, bez zachowania równej reprezentacji w Parlamencie. W zreformowanym parlamencie wszystkie państwa będą miały reprezentację proporcjonalną do liczby mieszkańców, a rządy nie będą mogły wetować ustaw przyjętych większością głosów. W praktyce oznacza to, że trzy największe państwa – Niemcy, Francja i powiedzmy Włochy, będą mogły przeforsować dowolne prawo obowiązujące wszystkich obywateli Unii. W zależności od politycznych okoliczności, wielcy mogą równie dobrze dobrać sobie dwóch mniejszych partnerów, jak Holandia czy Belgia. W praktyce oznacza to, że bez poparcia Niemiec i Francji, nic w Europie się nie narodzi i nikt niczego zablokuje. Proponowany ustrój, jeżeli coś, to najbardziej przypomina oligopol, a nie federację. W ekonomii oligopol to system, gdzie kilku największych graczy narzuca pozostałym zasady gry i ceny. Celem oligopolistów, w tym wypadku Niemiec i Francji, jest zabezpieczenie własnych interesów i wymuszanie na pozostałych respektowania ich zasad. W polityce klasyczny oligopol rzadko występuje. Najbardziej znanym oligopolem było Święte Przymierze, układ polityczny stworzony po Wielkim Kongresie Wiedeńskim, gdzie, jak pisał Henry Kissinger w książce „A World Restored”: *Legitymizacja nie powinna być mylona ze sprawiedliwością. Oznacza ona nie więcej niż narzucone porozumienie co do natury wykonalnych ustaleń oraz dopuszczalnych celów i metod polityki zagranicznej.* I dalej – *w takim zakresie, aby żadnemu państwu nie opłacało się sięgać po metody rewolucyjne.* Zwykle państwa narzucające zasady współistnienia, starają się zachować pozory suwerenności, eksponując korzyści z bycia częścią wielkiego projektu, a elitom mniejszych państw gwarantują na tyle atrakcyjne ścieżki kariery w strukturach monarchii czy w tym wypadku brukselskich instytucji, żeby sami strzegli interesów hegemonów w swoim kraju.



wydawnictwo.wei.org.pl

John Ikenberry w wyjątkowej książce „Po Zwycięstwie” pisze o dojrzałych metodach kontroli państw zależnych. *Zachodnie demokracje znalazły sposób na wykorzystanie instytucji do ustanowienia ograniczeń i zobowiązań, a czyniąc to, stworzyły porządek, który wykraczał poza równowagę sił i logikę imperialną.* Bruksela oferuje nam całą paletę argumentów, dla których warto popierać reformę traktatów i przyszły oligopol. Mowa jest o odzyskiwaniu należnego miejsca w świecie o europejskich wartościach i gwarancjach dobrobytu. Formuła miejscami gubi się w bizantyjskiej euro-mowie, ale koncept sprowadza się do centralizacji unijnych struktur pod auspicjami Niemiec i Francji, które w zamian obiecują udział w największym kawałku tortu przyszłej, bogatszej Europy. Czy prościej – bezpieczeństwo i dobrobyt w zamian za lojalność.

Formuła ma jeden słaby punkt – Europa za sprawą konsolidacji wcale nie staje się silniejsza i tortu nie przybywa. Od 2008 roku, kiedy to Unia zaczęła forsować kolejne wielkie dyrektywy zwiększające kontrolę Brukseli nad rządami narodowymi, nominalne płace i PKB na głowę statystycznego Europejczyka kurczy się zamiast rosnąć.

Unia Europejska liczy jakieś 450 mln obywateli. Amerykanów są 332 miliony, ale pod względem siły ekonomicznej proporcje wyglądają dokładnie odwrotnie. W 2008 r. gospodarka UE stanowiła ponad 90 procent amerykańskiej, dziś stanowi zaledwie 50 proc.

W 2008 roku kapitalizacja firm na największych giełdach w Ameryce i w Unii była niemal identyczna. Dziś wolumeny handlowe w Europie spadają, oferty publiczne są coraz rzadsze i niezbyt atrakcyjne, podczas gdy amerykańska giełda kwitnie i dzieli ją od europejskiej już ponad 300 mld dolarów. Dekadę temu 10 z 40 największych na świecie firm notowanych na giełdzie miało siedzibę w UE, zostały dwie, na odległym 32. i 36. miejscu.

Jakich wskaźników byśmy nie wzięli, w każdej kategorii nożyce się rozchodzą. W ciągu 16 lat Europa z najbogatszego i najprężniejszego kontynentu w dziejach ludzkości osunęła się w niemal wszystkich kategoriach. Jak to możliwe? Istotą problemu jest konstrukcja samej Unii, której cechy Bruksela chce teraz pogłębiać. Model, który sprawił, że tam, gdzie mogliśmy górować nad Ameryką i Azją, tam nie wykorzystaliśmy swoich szans, a wszystko, co stanowiło o naszej unikalności – cała mozaika kulturowa, bogactwo obyczajów i doświadczeń, dające Europie odwieczną przewagę, zostało skutecznie zaorane. Innymi słowy, Unia nie wykorzystowała szansy na zbudowanie gospodarczej synerгии jednolitego rynku, natomiast zrezygnowała z wewnętrznej różnorodności, przez co straciła dawną witalność i konkurencyjność.

W ciągu 16 lat Europa z najbogatszego i najprężniejszego kontynentu w dziejach ludzkości osunęła się w niemal wszystkich kategoriach.

Wspólny rynek tak jak go zaplanowano w latach 50., był największym osiągnięciem wspólnej Europy. Kto wie może i największym osiągnięciem od średniowiecznego uniwersalizmu chrześcijańskiego. Jeszcze w 2004 roku, kiedy Polska wstępowała do Unii, wspólny rynek stanowił o autentycznej przewadze Europy nad resztą świata.

Dla Polski lata 2004–2020 to był najwspanialszy okres w naszej historii, co barwnie opisał profesor Piątkowski. Z 1600 dolarów w 1990 roku na głowę nasz PKB wzrósł do ponad 23 tysięcy. Nie wszyscy rozwijali się równie szybko, ale lata do 2008 roku to był też najlepszy okres w historii Europy i jednolity rynek wydawał się najlepszym narzędziem do kontynuowania fantazyjnego marszu do dobrobytu.

Niestety, dziś ponad połowa europejskich przedsiębiorców pyta o to, co ogranicza ich rozwój, wskazuje na brak jednolitej przestrzeni handlu. Nawet na pozór proste kwestie nie zostały dotychczas znormalizowane. Jak choćby jednolity standard euro-umów, jednolity system odwoławczy od decyzji administracyjnych. Do dziś nie mamy w Europie jednolitych wymogów kredytowych czy prawa pracy. Sporo ostatnio było o przywracaniu praworządności, ale jak tu przywracać coś, co nie opiera się o jednolite rozwiązania? I bodaj czy nie największy mankament wspólnego rynku, gdzie najbogatsze kraje Unii wciąż nie ratyfikowały dyrektywy o wolnym obrocie usług.

Samo to już sprawia, że w miarę jak zmienia się struktura gospodarcza, kurczy się bogactwo Europy. Usługi stanowią dziś 75 procent PKB. Oznacza to, że wspólny europejski rynek obejmuje zaledwie 25 procent PKB. W 1997 roku, kiedy obrót towarami stanowił większość PKB, unijne firmy realizowały prawie trzy czwarte swojej sprzedaży w innych państwach europejskich. Wspólny rynek dawał znaczącą przewagę Europy nad Ameryką. Ale dziś, jak zauważa Morgan Stanley, kiedy niespełna 50 proc. to transakcje transgraniczne, Ameryka szybko przegania Europę, która jakby zatrzymała się na latach 50. Przegapiliśmy rewolucję usługową. Usługową, a teraz cyfrową – o tym za chwilę.

Pięć największych amerykańskich firm to giganci usługowi warte 5 mld dolarów. Większość z nich nie ma więcej niż 30 lat, podczas gdy największe europejskie firmy mają po sto, a czasem więcej lat, a ich kapitalizacja to półtora miliarda. Rynek unijny pozostaje rozproszony, przeregulowany i nie daje możliwości na budowę skali, jaką osiągają azjatyckie czy amerykańskie firmy. Mniejsze środki przekładają się na mniejsze możliwości inwestycyjne w najbardziej rozwojowe branże. W 1990 roku w Unii Europejskiej produkowano 44 procent zaawansowanych półprzewodników. Dziś produkuje się zaledwie 9 procent. Najnowsza deklaracja Ursuli von der Leyen o budowie super nowoczesnych fabryk półprzewodników brzmi imponująco, ale przewodnicząca mówi o 8 nowych fabrykach do 2025 r. W tym czasie w Ameryce powstanie 14 nowych fabryk i 43 w Chinach.

Kolejną piętą achillesową Unii jest rynek pracy. Według własnych szacunków Komisji w UE istnieje 5800 narodowych przepisów chroniących najróżniejsze branże w Unii – 200 na kraj. *W ramach niemieckiego systemu „kształcenia dualnego” połowa absolwentów szkół kształci się w jednym z około 330 regulowanych zawodów, od introligatorstwa po produkcję termometrów.* Deregulacja oznaczałaby konieczność rozmontowania 200-letniego systemu niemieckiej edukacji i gild rzemieślniczych.

Jest jedna profesja, która nie wymagała by zmiany systemu kształcenia – prostytutka. Choć regulowana jest w ośmiu państwach Europy i w kilku krajach dorobiła się nawet własnego pomnika. Ale dumna regulowana czeska prostytutka na podstawie własnych narodowych certyfikatów nie może prostytutkować się w Niemczech, a belgijska w Holandii.

Nadregulacja szczególnie szkodzi gospodarce cyfrowej. *40 procent europejskich platform internetowych nie prowadzi sprzedaży na rzecz konsumentów z innych państw członkowskich; 77 procent sprzedaży online to sprzedaż krajowa.* Na europejskim rynku cyfrowym królują amerykańskie firmy Microsoftu, Amazon, Google, Netflixa. Kapitalizacja tylko jednego amerykańskiego giganta jest większa niż wartość londyńskiego indeksu 100 największych spółek. Światowy producent półprzewodników Nvidia jest wart więcej niż największy niemiecki indeks giełdowy.

Przepaść między tempem rozwoju amerykańskiej i europejskiej gospodarki to nie przypadek. Według WSJ Ameryka zawdzięcza boom przemowlowi technologicznemu, jakim jest sztuczna inteligencja. Stany Zjednoczone są bezsprzecznym liderem, zarówno pod względem badań, jak i praktycznego zastosowania sztucznej inteligencji. Wartość amerykańskiego rynku SI w 2024 roku osiągnie 42 miliardy dolarów, europejski przeregulowany rynek to niespełna 16 mld, co widać po wynikach.

Z najnowszych danych Eurostatu i US Bureau of Labor Statistic wynika, że produktywność rok do roku spadła w strefie euro o 1,2 procent w czwartym kwartale, podczas gdy w USA wzrosła o 2,6 procent. Przez ostatnie 20 lat wzrost wydajności pracy w USA był ponad dwukrotnie wyższy niż w strefie euro.

Proste wytłumaczenie brzmi: Amerykanie więcej pracują i więcej produkują w każdej godzinie pracy. Na to nakłada się ogrom regulacji, oston socjalnych, skracania tygodnia pracy, ale też powolna adaptacja nowych technologii cyfrowych, z uwagi na nadmiar regulacji. Doskonale to widać, kiedy porównamy liczbę jednoroźców – startupów o wartości ponad 1 mld dolarów napędzających współczesny rozwój. Europa ma 47 jednoroźców, Chiny mają ich 97, a Ameryka – 194. Powodów jest kilka, ale dwa są najważniejsze. Po pierwsze, wspomniany dysfunkcyjny jednolity rynek, brak otwartego rynku cyfrowego i usług finansowych. Drugi powód to cały strumień dyrektyw cyfrowych skutecznie odstrasżających od inwestycji w Europie.

Amerykański ustawodawca co do zasady nie reguluje nowych technologii czy trendów biznesowych dopóki istniejące już prawa sobie z nimi radzą.

Za każdym razem jak o tym mówię, ktoś mi przypomina, że w 2022 roku UE przecież przyjęła dyrektywę o usługach cyfrowych. Prawda, przyjęła, ale nie ma tu nic o otwieraniu rynku usług. Przeciwnie, chodzi o wspólnianie zakazów, czego nie świadczyć i jak nie świadczyć. Jakich treści się wystrzegać, jak je monitorować, jak nie dopuścić do akumulacji rynku i jak ma wyglądać sprawozdawczość. Ta, jak każda wielka unijna regulacja, genialnie pokazuje nam różnice w filozofii między amerykańskim i europejskim podejściem do rynku.

Wspomniany Act SI, regulacja sztucznej inteligencji, głównie reguluje wyobrażenia i fobie urzędników niż nierealny świat cyfrowy. Amerykański ustawodawca co do zasady nie reguluje nowych technologii czy trendów biznesowych dopóki istniejące już prawa sobie z nimi radzą. SI ACT nie tylko, że naszpikowany jest zakazami, ale też wprowadza bezprecedensowy obowiązek informowania urzędników o prowadzonych badaniach nad sztuczną inteligencją jeszcze na etapie koncepcji. Chodzi o to, żeby zatrzymać uczonych zanim wymyślą coś, na co Bruksela i tak nie da zgody. Pomijam wszystkie kwestie tajemnicy firmowej, przecieków do konkurencji i czas, jaki upłynie urzędnikom na zrozumieniu pomysłu, ale zastanówmy się na

chłodno, jaki przełomowy wynalazek w dziejach ludzkości ujrzałby światło dzienne, gdyby jego los zależał od urzędników?

Dlaczego oni nam to robią? Dlaczego urzędnicy podejmują działania destrukcyjne dla rolnictwa, dla przedsiębiorców, nauki, dla naszego dobrobytu? Po pierwsze, bo mogą, bo funkcjonują poza normalnym systemem demokratycznej kontroli społecznej. Nie stają do wyborów, nie odpowiadają za swoje pomysły. Po drugie, to specyfika unijnego ustroju, gdzie dyrektywy poza swoimi regulacyjnymi funkcjami mają szczególny wymiar polityczny. Państwa narodowe, ratyfikując regulacje, jednocześnie godzą się na mechanizm monitorowania i egzekwowania konkretnych obszarów życia czy ekonomii. Mechanizm zawsze pozostaje w gestii Komisji Europejskiej, która tym sposobem przejmuje kompetencje narodowego rządu. Stąd też Unia przykładą tak ogromną wagę do dyrektyw i nadaje im podniosłe brzmiące nazwy jak Zielony Ład, Odbudowa Zasobów Przyrodniczych, Środowisko, Społeczeństwo, Zarządzanie, Akt o rynkach cyfrowych, o usługach cyfrowych, o sztucznej inteligencji. Od 2008 roku mamy eskalację nowych aktów regulacyjnych. Dyrektywy pokrywają już większość przestrzeni naszego życia i coraz mniej miejsca zostawiają na w pełni suwerenne decyzje narodowym rządóm. Polityczny cel znacząco przewyższa zarówno cele ekonomiczne, jak i jakość samych dyrektyw.

Wspomniany Akt AI został zmasakrowany przez ekspertów jako nieprzystający do potrzeb rynku. RODO, pamiętacie ten wielki pakiet regulacyjny, który miał zapewnić nam więcej prywatności i poprawić jakość usług? Okazuje się, że na skutek wprowadzenia RODO ruch na stronach internetowych w UE spowolnił, a wraz z nim przychody z reklam.

Jeżeli nawet istnieją jakieś korzyści z RODO – piszą uczeni – to nie są rekompensowane szkodami dla konsumentów wynikającymi z negatywnego wpływu na rozwój innowacyjnych produktów w Europie. Najdoskonalszym jak dotychczas narzędziem przejmowania kompetencji suwerennych państw jest niewątpliwie fundusz odbudowy post pandemicznej. Sławne KPO. Sam fundusz miał kopiować podobne instrumenty w Azji i Ameryce od lat pobudza-

jące rynki inwestycyjne. Ursula von der Leyen o KPO mówiła jako o *wyjątkowej okazji do zainwestowania w zbiorową odbudowę i wspólną przyszłość*. Ta wspólna przyszłość okazała się bardziej narzędziem politycznym niż nową lepszą rzeczywistością. Jeszcze w 2020 roku Komisja szacowała, że KPO zwiększy PKB państw członkowskich średnio o 1,9 procent. Dziś sama Komisja przyznaje, że wzrost wyniósł niespełna 0,4 procent, a Goldman Sachs sugeruje wręcz, że w przypadku Niemiec, Francji, Włoch i Hiszpanii – może nawet spowodować spowolnienie gospodarcze z uwagi na opóźnienia wypłat i koszty biurokracji. „The Financial Times” wykazuje, że zaledwie jedna trzecia funduszy została dotychczas rozdys-trybuowana. I ja tu nie mówię o Polsce czy Węgrzech, ale gros pieniędzy nie dotarło do takich państw jak chociażby Belgia. Jeden powód to biurokracja, do której wrócę w jednym z kolejnych programów. Ale bodajże poważniejszy problem dotyczy ideologicznych założeń funduszu. Państwa otrzymały obietnice miliardów dotacji i pożyczek, ale – zawsze było jakieś „ale”. Komisja negocjowała z rządami w czasie, kiedy walczyły jeszcze ze skutkami pandemii. Rządy przyparte do ściany godziły się modernizować infrastrukturę publiczną, reformować systemy emerytalne i w kilku przypadkach – z Polską na czele – naprawić praworządność. Włosi zostali zmuszeni do zmian w strukturze administracji publicznej. Hiszpanie musieli zmienić zapisy prawa pracy. *Komisja Europejska oblicza, że odsetek reform zalecanych przez Brukselę, które zostały podjęte przez kraje UE, wzrósł z 52 procent w 2021 r. do 69 procent w 2023 r.* Żeby była jasność, część tych reform była potrzebna, ale część, jak widzieliśmy w naszym przypadku, nie była tu najważniejsza. Pieniądze z KPO zostały odblokowane po tym, jak zmienił się rząd, a nie ustawy. Najwyraźniej dla Komisji ważniejsza była sama świadomość, że nowa rządząca koalicja wesprze krytyczne unijne projekty. Zarówno zmianę traktatów, jak i niefortunną dyrektywę o Odbudowie Zasobów Przyrodniczych, przez którą rolnicy wylegli na ulice. A potem Komisja musiała ją czasowo zawieszać.

Komisarz ds. ekonomii Paolo Gentiloni przyznał, że osiągnięciem KPO było przede wszystkim *wzmocnienie roli Komisji w zakresie koordynacji i nadzoru nad narodowymi prawami*. Bruks-

sela grała ostro i osiągała swoje cele polityczne, często kosztem gospodarki.

Trzy lata temu, kiedy pierwszy raz ujawniono plan zaciągania wspólnego długu i emisji euroobligacji, niektórzy komentatorzy mówili o europejskim „momencie Hamiltonowskim”. To nawiązanie do przejęcia stanowych długów wojennych przez rząd federalny z inicjatywy Alexandra Hamiltona w 1791 roku. Dziś wiemy, że w Europie mieliśmy do czynienia nie tyle z momentem hamiltonowskiej solidarności, co z momentem De Gaullistowskim – *dirigisme*, czyli ni mniej, ni więcej tylko budowa Unijnego Kapitalizmu Państwowego.

Komisja za pomocą nacisków, ekonomicznego szantażu i kolejnych dyrektyw odbierała państwu decyzyjność, a korporacje zmuszała do realizowania politycznych celów Brukseli. Jak to ktoś zgrabnie podsumował, w miejsce kantowskiego idealizmu, gdzie gospodarka jest wytworem ludzkich potrzeb, Komisja Europejska przywróciła hobbystowski realizm, gdzie gospodarka jest narzędziem do realizowania celów politycznych.

Co to są za cele? Pierwszy bardzo ludzki, po prostu spora rzesza eurokratów, wzmocniona powierzonymi im kompetencjom uznała, że czas skończyć z fikcją i doprowadzić do końca transformację od suwerennych państw narodowych do rządów euro-merytokratów. Coś jak upadek gnuśnych Merowingów w VIII wieku i zapoczątkowanie dynastii Karolingów, do niedawna zarządców dworu Franków. Tak jak Karolingowie, tak też eurokraci potrzebują spójnej opowieści racjonalizującej odbieranie suwerenności państwom narodowym. Nawiązując do postmodernistycznych myślicieli, utwierdzają nas w przekonaniu, że wojny, nieprawości, feudalizm, krwiożerczy kapitalizm, faszyzm i co tam jeszcze, wszystko to było pochodną felernej konstrukcji Europy. Rozproszonej, skazanej na wieczne spory, agresje, ideologie wyzysku, męskiego szowinizmu i racjonalizowania barbarzyństwa. Federalizm miał być odpowiedzią na odwieczne narodowe dysfunkcje Europy.

Idea europejskiego federalizmu po raz pierwszy sformułowana została w 1918 roku na łamach „Corriere della Sera”. Dwa długie artykuły Luigimiego Einaudimi, który argumentował, że dogmat suwerenności narodowej był źródłem

wszelakich wojen i musi być wyeliminowany. 40 lat później koncept zainspiruje Alfreda Spinellego, byłego działacza komunistycznego i współautora Manifestu Ventotene, czyli „przyspieszcie”. Przyspieszcie i stwórzcie Unię Stanów Europejskich, która z czasem przekształci instytucje wspólnotowe w federalną władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Na prace Spinellego i dwóch innych komunistów powoływali się zresztą autorzy obecnego projektu zmiany traktatów unijnych – czyli wreszcie wymarzone, kolektywistyczne finale – ostatni etap wielkiego dzieła federalnej Europy.

Rzecz dobrze opisał europarlamentarzysta Jacek Saryusz Wolski, także ja odniosę się tylko do ekonomicznych aspektów tej rewolucji.



pism.pl

Na szereg zagrożeń, już przed laty zwrócił uwagę oxfordzki profesor Jan Zielonka w książce „Koniec Unii Europejskiej?”. Pisząc o tym, jak integracja europejska mogłaby przebiegać z korzyścią dla europejskich narodów, użył muzycznego porównania Polifonii. *Polifonia nie zakłada jedności czy hierarchii, a siłę i funkcjonalność czerpie z wielu luźnych układów i kontrapunktowych relacji. Zatem celem integracji polifonicznej byłoby bardziej harmonijne współdziałanie z zachowaniem jej największego skarbu: różnorodności i pluralizmu*”. Profesor Zielonka twierdził, że Unia dławiąc historyczne przezwagi Europy, sama siebie skazuje na porażkę.

Nawet jeżeli przyjmujemy, że Bruksela zrealizowała swój cel polityczny, przejmując kontrolę nad większością obszarów naszego życia, determinując granice naszych swobód i nawet strategię prywatnych firm, to nie sposób wykazać,

że Europa stała się od tego bezpieczniejsza, silniejsza, bogatsza i jej przyszłość świetlana.

Przeciwnie. Europejczycy stoją dziś w obliczu nowej, surowej rzeczywistości gospodarczej, której nie doświadczyli od dziesięcioleci. **Stagnacja gospodarcza, rosnące stopy procentowe, utrzymująca się inflacja, niekontrolowana migracja, zapadająca się demografia, rozruchy uliczne paraliżujące nie tylko drogi, granice, lotniska, komunikację miejską, ale przede wszystkim nasze marzenia o lepszym życiu.**

Niepisana umowa społeczna, mit państwa dobrobytu, zamożności i jakości życia postępującej wraz z integracją pryska, zostaje złamany. Nierealne cele klimatyczne i społeczne stawiane nam przez Komisję Europejską przekraczają możliwości państw narodowych. *W przypadku samych tylko skutków regulacji klimatycznych, wiemy już, że to trzy czwarte biliona euro, które państwa europejskie przeznaczyły na niwelowanie skutków transformacji energetycznej. To dużo za mało.* Mimo wszystkich subsydiów i programów pomocowych, ubóstwo energetyczne i zapaść przemysłowa cały czas się pogłębia, co oczywiście tłumaczy wiele wcześniej podawanych przez mnie wskaźników.

Obrońcy „europejskiego modelu życia” często powtarzają, że porównanie samego PKB czy poziomu konsumpcji jest złudne i nie oddaje czegoś, co sobie nazywaliśmy jakością życia. Twierdzą, że na to składa się całe mnóstwo pozytywnych zjawisk, które mają nas przekonać, że choć biedniejsi, choć wolniej się rozwijamy, to więdziemy pełniejsze życie. Komisja Europejska rozpoczęła nawet specjalną kampanię, pokazując jak w różnych obszarach od kultury do przyrody, Europejczycy cieszą się lepszym życiem.

Może i jesteśmy mniej wydajni, ale mamy więcej wolnego czasu. Może nie tak bogaci, jak Amerykanie, ale jesteśmy mniej zestresowani. Może mniej innowacyjni, ale umiemy się lepiej cieszyć tym, co mamy. Prawda jest taka, że im mniej wymierne stają się wskaźniki, do których przykładamy wielką wagę, tym większe dysproporcje widzimy wszędzie tam, gdzie różnice można łatwo policzyć.

Od 2019 roku realne płace w strefie euro spadły o 3 procent w Niemczech, o 3,5 procent we

Włoszech i w Hiszpanii, w Grecji o 6 procent, a w Stanach Zjednoczonych wzrosły o 6 procent. Statystyczny Europejczyk po opłaceniu mieszkania, prądu, gazu, kredytów i wszelakich podatków dysponuje 1,5 tysiąca euro miesięcznie, tak zwanego dochodu rozporządzalnego. Amerykaninowi zostaje 4,5 tys. dolarów.

Francuzi jedzą dziś mniej *foie gras* i piją mniej czerwonego wina. Niemcy jedzą mniej mięsa. Hiszpanie ograniczają spożycie oliwy z oliwek. Finowie rzadziej chodzą do sauny, żeby oszczędzać na prądzie. Według Europejskiego Centrum Międzynarodowej Ekonomii Politycznej, przeciętny kraj UE jest uboższy w przeliczeniu na mieszkańca od każdego z amerykańskich stanów z wyjątkiem Idaho i Missisipi. Jak zauważa „The Wall Street Journal”: *Jeśli obecna tendencja się utrzyma, to w 2035 r. różnica między produkcją gospodarczą na mieszkańca w USA i UE będzie tak duża, jak między Japonią a Ekwadorem.* Coraz ciężiej bronić tezy o wyższości europejskiego stylu życia.

Dla Polski i państw Europy Środkowej punktem odniesienia wciąż są czasy sowieckiej dominacji, dlatego też nasz wzrost dobrobytu w ciągu ostatnich 30 lat jest imponujący. Ale mieszkańcom Europy Zachodniej ciężko jest wmówić, że ich życie za sprawą regulacji staje się lepsze i teraz dzięki zmianie traktatów rozkwitnie.

Doskonały holenderski politolog Luuk van Middelaar w książce „Alarums and Excursions” twierdzi, że *ostatnie 15 lat Unia nieustannie improwizowała i łatała dziury, zamiast szukać odważnych rozwiązań systemowych dla coraz poważniejszych kryzysów.* Urzędnicy i politycy w Brukseli skoncentrowani są na obronie *status quo*, jak twierdzi Middelaar, jest charakterystyczne dla zapadających się imperiów. Middelaar mówi o unijnym momencie makiawelicznym. Termin należy do Johna Pococka, historyka, który pierwszy zauważył, że oświeceniowe republiki i ich przywódcy wymęczeni nieustannymi kryzysami, *strumieniem niekończących się, pozornie irracjonalnych wydarzeń, z czasem dochodzą do przekonania, że świat, jaki znają, musi polec. Każdy kryzys rodzi nowy kryzys, nie ma perspektyw na poprawę i godzą się z porażką* – pisał Pocock. Oprócz renesansowych włoskich państw-miast dawał przykład Anglii z czasów wojny domowej, kiedy zrezygnowani przywódcy dochodzą do wniosku, że muszą ratować



z dawnego mocarstwa to, co pozwoli im zachować własne przywileje. W reakcji na wysyp kryzysów – finansowego, bankowego, energetycznego, inflacyjnego, migracji ludów, pandemii, wojny i demografii, elity dochodzą do wniosku, że po pierwsze muszą zagwarantować sobie zmiany ustrojowe, które uczynią ich nieusuwalnymi, stąd pomysł ograniczenia wpływu wyborców na decyzje polityczne i zmiana treści traktatów. Dwa – muszą zrekompensować buntującym się masom ich pogarszający się tryb życia. To chociażby ostatnia propozycja dalszych rekompensat dla rolników protestujących przeciwko dyrektywom klimatycznym. Dyrektywy nie zmienimy, ale wypłacimy większą pomoc. Dodatkowo Unia planuje zaciągnąć w naszym imieniu kolejne kredyty na wzór KPO, co ma zapewnić dalszą redystrybucję. Poręcznym narzędziem może być też dyrektywa ESG, która przy okazji dostosowań klimatycznych przerzuca koszty na prywatne firmy i karze im kierować się dobrem pracowników, a nie dobrem firmy. Najlepiej podsumował te działania prezydent Argentyny w swoim wystąpieniu w Davos: *kapitalizm został podmieniony na socjalizm, z którego niegdyś zrodziło się wszelkie zło tego świata.*

„Horizon” – oficjalny unijny magazyn publikujący najważniejsze osiągnięcia unijnych reaser-

cherów – pisze: *Definicja dobrobytu również powinna ulec zmianie. Wzrost gospodarczy powinien być zastąpiony „degrowth” – po polsku powiedzielibyśmy „antywzrost”. Unia naszym współczesny Franciszek z Asyżu idealizuje ubóstwo i wyrzeczenia w imię wyższych klimatycznych i równościowych celów.*

Istnieje wspólna przyczyna wszystkich naszych cywilizacyjnych problemów: nieugaszzone pragnienie gospodarki, by rosnąć – coraz bardziej i bardziej, bez ograniczeń. I dalej – piszą uczeni – degrowth jest zarówno konieczny, jak i w pewnym sensie nieunikniony. Ma być nowym kolektywistycznym celem wszystkich Europejczyków, sprzecznym z ideałami Adama Smitha, który mówił o naturalnym prawie do podążania własną drogą do szczęścia. Szczęście znowu ma być zbiorowe.

Ten unikalny projekt z całą jego architekturą społeczną, kryje się za miękkimi sentymentalnie brzmiącymi dyrektywami jak Zielony Ład, regenerowanie przyrody, inkluzywny kapitalizm, zrównoważone rolnictwo, świadomy społecznie kapitalizm, mowa wolna od nienawiści. Każde dotyczy innego obszaru naszego życia, każde pięknie brzmi i wszystkie jedno mają wspólne – *degrowth* – czyli ubożenie naszego europejskiego świata.



NIEWOLA SŁOWA. CENZURA ISTOTĄ UNIJNEGO ŁADU

Nie ma jednej teorii tłumaczącej unikalność zachodniej cywilizacji. Potrafimy dopasować daty do pierwszej ateńskiej konstytucji, możemy wskazać drogę, jaką narody przebyły do świetności ostatnich 200 lat. Były oczywiście lepsze i gorsze dekady, ale co do zasady, im większy był zakres wolności słowa, tym szybciej rósł nasz dobrobyt. I gdzie z tą wolnością teraz podążamy?

Peter Turchin twierdził, że kluczem do rozwoju zachodniej cywilizacji były doświadczenia plemion żyjących na peryferiach Imperium Rzymskiego. Inni, jak Arnold Toyanbee, uważają, że dopiero załamanie mongolskiej ekspansji na Zachód i odcięcie chińskiego rynku stworzyło warunki do eksploracji oceanów. Niezależnie od różnych interpretacji historii, u wszystkich dziejopisarzy pojawia się jeden wspólny element kulturowy – zdolność do adaptowania starożytnych praw naturalnych do zmieniających się uwarunkowań społecznych, ekonomicznych i politycznych. *Od Arystotelesa przez judeo-chrześcijański system wartości duchowych, wczesny renesans po narodową demokrację – jak pisze Ben Shapiro – mieliśmy jasno wyznaczony kompas, sens życia niezależny od zakrętów historii. Przy czym tempo rozwoju de-*

terminowane było swobodą przepływu informacji, nauki i kapitału. Wypadkowa tych trzech strumieni wolności była krytyczna dla czegoś, co Bradford Delong nazywa „długim wiekiem świetności”, chodzi o lata największego rozkwitu Zachodniej Cywilizacji *od 1870 roku aż po smutno gasnący nasz świat, począwszy gdzieś od 2010 roku. Łącznie 140 lat.*

Każda próba wyhamowania czy przeregulowania choćby jednej z naszych fundamentalnych swobód tłumiła rozwój pozostałych. Delong wskazuje 2010 rok jako cezurę trwałych zaburzeń w strumieniach wolności. Nic oczywiście nie dzieje się samoczynnie. Swoje zrobił tu wielki kryzys finansowy 2008 roku, masowa migracja ludów z południa, pandemia, rosyjska inwazja, kryzys energetyczny, euro-stagnacja. Wszystko to są zaburzenia, których katalizatorem, według profesora Gallowaya, była wielka rewolucja cyfrowa, czyli zaburzenie przepływu informacji.

Mówiłem o tym w poprzednich sezonach, teraz tylko przypomnę, że jak na ironię losu rozkwit narzędzi komunikacji społecznej od maila po globalne platformy przeorał dotychczasowe modele relacji międzyludzkich, tworzących

nieznane dotąd zagrożenia dla zachodnich instytucji. Od rynków kapitałowych, przez naukę, kulturę, media, po życie polityczne. Jak w każdej rewolucji informacyjnej, czy jak wolą inni, rewolucji medialnej, kolejne grupy wpływów traciły zdolność do reagowania na rosnącą presję coraz bardziej rozproszonych ośrodków nacisku politycznego. Klasycznym, choć nie jedynym przypadkiem, był spór rządu Tuska z nieformalnym lobby obrońców Centralnego Portu Komunikacyjnego. Poza mainstreamowymi mediami wylała się zmasowana oddolna kampania kompromitująca narracje rządzących i zmuszająca ich do zmiany nastawienia. Dla rządzących, których świadomość polityczna zatrzymała się gdzieś na początku stulecia i na tradycyjnej telewizji czy radio, utrata sterowności medialnej i zdolności do kontrolowania przekazu były nie lada szokiem. Innym przykładem może być konieczność zawieszenia niektórych postanowień Zielonego Ładu w reakcji na masowe protesty rolników.

Nad technologią stosunkowo łatwo jest zapanować. Można zabronić, można uregulować, trudniej opanować przemiany społeczne.

Kiedy politycy nie mogą zapanować nad narracją, próbują przejąć kontrolę nad żywiołem zmian, zwykle hamując czy regulując rozwój technologiczny. Nad technologią stosunkowo łatwo jest zapanować. Można zabronić, można uregulować, trudniej opanować przemiany społeczne, które nastąpiły zanim jeszcze politycy zorientowali się, że tracą grunt pod nogami. Odwrócona piramida informacyjna, która za sprawą rewolucji cyfrowej zburzyła tradycyjny przepływ wiedzy od uprzywilejowanej „sekty” mediotwórców, to jest szeroko rozumiana grupa właścicieli, wydawców, redaktorów wszystkich, którzy zdecydowali o tym, co dotrze do mas. Ich miejsce zajęł wolny od uprzedzeń algorytm. *W 2010 roku – pisze DeLong – stało się jasne, że świat nie wróci na dawną ścieżkę rozkwitu. Ale nie tylko dlatego, że informacje były łatwiej dostępne, ale też dlatego, że tradycyjne grupy wpływów postanowiły odzyskać utraconą kontrolę. I dalej, pisze DeLong: Kilka nikczemnych sił stopniowo osłabiło przywiązanie Zachodu do rozumu, nauki i zachodnich wartości.*

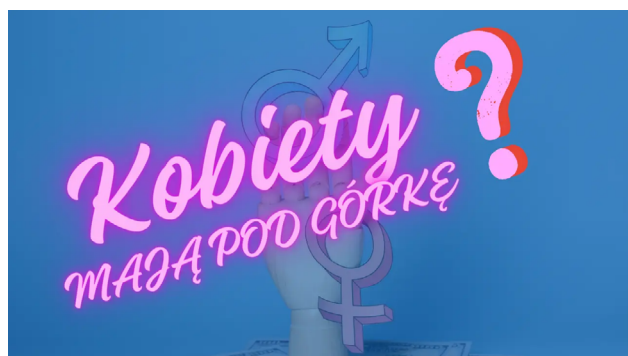
Od XV wieku i pojawienia się maszyny drukarskiej, mieliśmy co najmniej cztery takie zakłócenia czy rewolucje informacyjne. Z każdym nowym medium przepływ informacji się demokratyzował czy to była maszyna drukarska, szybki druk i narodziny codziennej gazety, potem radio, telewizja, zawsze politycy i elity staro-go medium usiłowały zatrzymać zmiany i odzyskać kontrolę nad informacją. Przy czym zawsze robili to, głosząc troskę o maluczkich, nieświadomych, naiwnych, których często wbrew im samym, postanawiali chronić od dezinformacji i deprawacji słowem. We Francji rząd wydawał licencje na posiadanie maszyny drukarskiej tylko lojalistom. We Włoszech, Hiszpanii konfiskowano i niszczone maszyny drukarskie w obawie, że zostaną wykorzystane do drukowania antyreligijnych pamfletów. W Turcji przez ponad dwieście lat obowiązywał druk w języku narodowym. W Wielkiej Brytanii rząd musiał zawczasu akceptować każdy dokument przeznaczony do druku. Potem narodziny cenzury prewencyjnej i wymazywanie ze stron niechcianych słów czy całych artykułów.

Medialną rewolucję cyfrową porównać możemy tylko do rewolucji Guttenberga, a metody walki z nią, tylko z katolicką inkwizycją czy osmańską radą ds. pisma drukowanego. Prawdą jest, że rewolucja cyfrowa załkownie zburzyła dotychczasowy porządek medialny i zmobilizowała nie jedną, nie dwie, ale dziesiątki różnych sfrustrowanych grup, tracących swój dawny monopol na wiedzę i informację.

Oprócz, nazwijmy ich mediaworkerami, zagrożeni poczuli się politycy, uczeni, wszyscy, których status zależy od medialnej ekspozycji. Spychani na margines cyberprzestrzeni, musieli się dostosowywać do mediów, zamiast media do nich. Wspomniany wcześniej Galway mówi wręcz o panice elit opowiadających się za przywróceniem jakiejś formy kontroli i cenzury. Dawno niesłyszane zarzuty o dezinformację, manipulację, na nowo stały się linią frontu rewolucji informacyjnej. Do tego docho-dzą nowe terminy jak fakenewsy, mowa nienawiści, słowa rażące jak broń – weaponizacja słowa.

Żeby była jasność, dezinformacja, mowa nienawiści, manipulacja jest realnym zjawiskiem, ale niczym nowym. Tak jak kłamstwo

i oszustwo, manipulacja słowem była wszędzie tam, gdzie człowiek mógł pisać i czytać. To, co było nowe, to ogrom ludzi i grup społecznych nieradzących sobie w nowych cyfrowych realiach. To są tradycyjni mediaworkerzy, politycy dawnego sznytu, akademicy, telewizyjni eksperci, ale to są też środowiska, które przez ostatnie 30 lat zbudowały sobie silną i niepodważalną pozycję, jak organizacje feministyczne, poszczególne tożsamości płciowe, rasowe, klimatyczne, majątkowe. Wszystkie nauczyły się dobrze nawigować w przestrzeni medialnej i zapewniać sobie odpowiednie nagłośnienie dla swoich roszczeń. Nagle ta narracja została wystawiona na wielki test niekontrolowanej masowej społeczności internetowej. Bez cenzury, bez dziennikarzy, bez zblatowanych pośredników musieli od nowa walczyć o uwagę w cyberprzestrzeni. Nowe media wymusiły nowe krzykliwe strategie, co tłumaczy wysyp dziwacznych formacji jak Antifa, Black Life Matter, agresywnego feminizmu czy – jak mówi Katarzyna Szumlewicz – trzeciej i czwartej fali feminizmu, konstrukttywizmu społecznego, realtywizmu kulturowego, anty białości.



wei.org.pl

To może nieco przydługie wprowadzenie konieczne jest dla zrozumienia, tego, co chcę dalej powiedzieć o koncepcie unijnych regulacji medialnych. Ustaw wprowadzających *de facto* kontrolę swobody przepływu informacji. Skupię się tylko na kilku, które moim zdaniem kończą w Europie epokę złotej wolności słowa i niechybnie wpłyną na rozwój gospodarczy. To są zapisy traktatowe o mowie nienawiści, regulacje o dezinformacji, to jest Europejski Akt Wolności Mediów czy współgrająca z nimi ustawa o Cyfrowych Usługach (DSA). Wszystkie tworzone były z myślą o ratowaniu Europejczyków przed zagrożeniem „nieodpowiedzialnym” słowem.

Paternalistyczne państwo, jakim jest Unia Europejska, czuje się odpowiedzialne za swoich obywateli, ale ponieważ przed nimi nie odpowiada, nie musi się liczyć z ich zdaniem. Działa w przekonaniu, że lepiej wie niż oni sami, co jest dobre dla obywateli, co ich uchroni przed złem. Ustępuje tylko w obliczu masowego buntu. Nie dlatego, że przekonują ją argumenty, ale dlatego, że czuje, że mogą stracić panowanie. Przykładem niech będzie zawieszenie niektórych aspektów Zielonego Ładu przed wyborami do europarlamentu albo rezygnacja z konstytucji po przegranym referendum 2005 roku we Francji i Holandii. Komisja nie zmieniła zdania, jedynie zmieniła metody wprowadzenia tego, co dla Europy dobre. Skoro nie sprawdziły się metody demokratyczne, poczekała 20 lat i konstytucję wprowadzi jako ustawy o zmianie traktatów tylnymi drzwiami. To samo po wyborach zrobi z Zielonym Ładem.

Na wszelki wypadek swoje regulacje Unia wprowadza bardzo powoli. Krok po kroku, z rozmysłem, zaczynając od łagodnych zmian, unikając szokowych reform i obudowując je pozytywną narracją. **Kiedy wreszcie zdajemy sobie sprawę, jak bardzo zmienił się nasz świat i jak dużo musieliśmy za to zapłacić, zwykle jest już za późno na bunt.**

Stąd też zapisy i unijne ustawy regulujące swobody słowa trzeba czytać razem, żeby zobaczyć pełen obraz post Miltonowskiej epoki. Przypomnę – 380 lat temu John Milton w pamphlecie „Areopagatica” zaatakował tzw. ordynację drukarską, gdzie na każdy druk wydawca musiał uzyskać zgodę urzędnika. Milton dowiedział, że zanim cokolwiek zostanie osądzone, musi być dopuszczone do publikacji i ta jego publikacja uważana jest do dziś za cezurę epoki wolnych mediów. Epokę, która może zmierza do swojego końca.

Europejski akt o wolności mediów – EMFA to najmłodsze dziecko opiekuńczej Unii. Nadzór nad niezależnością mediów. Tak absurdalnie jak to brzmi, tak też zostało skonstruowane. Czyli w imię niezależności powstaje instytucja nadzoru nad niezależnymi mediami. W ramach niezależności, media będą zobowiązane przedstawiać szczegółowe raporty o tym jak gwarantują równość zatrudnionych mniejszościom, od wydawców – informacje jak zapewnią dziennikarzom niezależność od samych siebie

i reklamodawców. Państwo z kolei ma zapewnić stałe finansowanie mediom publicznym, niezależnie od treści, jakości i oglądalności.

Na potrzeby ochrony niezależności powołana zostaje cała skomplikowana konstrukcja, gdzie na dole znajdują się Krajowe Rady, wolne od kontroli państwa. Nad nimi będzie Europejska Rada ds. Usług Medialnych, a nad Radą nieco schowana Komisja Europejska, która w niektórych kwestiach może działać jedynie „w porozumieniu z Komisją”, czyli w dół tańcuchem pokarmowym za pośrednictwem krajowych rad może wymuszać rozwiązania i interpretacje granic wolności, w przekonaniu Komisji dobre dla obywateli i niezależności mediów. Trochę jak Komisja Europejska rządowi za pośrednictwem mechanizmów monitorowania.

Ostatnio pytałem o tę zależność niezależnej Rady od Komisji samą komisarz Verę Jurową, która zbagatelizowała problem, mówiąc: zapewniamy tylko sekretariat. Sekretariat w brukselskim *lingo* to kasa. Kontrola finansów i możliwość decydowania na co i ile może Rada przeznaczać. Przy czym Rada może mieć wpływ na moderowanie treści medialnych przez VLOP-y – Wielkie platformy, zarówno na szczeblu unijnym, jak i krajowym, gdzie Rady mają pilnować, jakie treści są promowane oraz jak i kiedy materiały prasowe niespełniające regulacji o dezinformacji są zdejmowane.

Ciekawe, że cały dokument powstał w oparciu o fałszywe założenie, że – jak piszą autorzy z biura Pani Jurowej – transformacja informacji cyfrowej stanowi zagrożenie dla wolności słowa. Stanowi? Przesuwanie ciężaru ekonomicznego od mediów tradycyjnych do elektronicznych nie oznacza, że zaczną one bardziej kłamać niż zwykle ani, że treści będą gorsze niż niegdyś. Oznacza to większe rozproszenie mediów i większą demokratyzację przepływu informacji, co oczywiście sprawia, że w sieci jest więcej wszystkiego. Więcej chłamu i więcej wartościowych materiałów. Mamy wiele przykładów, że media elektroniczne są często bardziej ambitne, bardziej odpowiedzialne od tradycyjnych. Ale nawet gdyby, nawet jeżeli komuś przeszkadza jakość tekstów, nadmiar idiotyzmów, wulgaryzmów to co z tego? W demokracji człowiek ma prawo sam sobie kształtować opinię i mieć niezależną wolę polityczną.

Obywatele nie muszą być prowadzeni za rękę przez brukselskich biurokratów, nie trzeba im tłumaczyć, czym jest dobre, a czym złe słowo i czego wolno im słuchać, a czego nie. Bo wtedy to przestaje być demokracja. Pluralizm i wolność mediów oznaczają, że nie tylko „dobre”, ale także „złe” media mogą się produkować, a ludzie mają prawo oglądać zarówno dobre, jak i złe treści i nie muszą się z tego nikomu tłumaczyć. Bruksela uważa inaczej i buduje całą maszynę, która pozwoli im kontrolować nasze wybory. Swego czasu Mark Twain zauważył: *nigdy nie ufaj rządowi, który twierdzi, że wie co dla ciebie jest dobre, a co złe.*

Obywatele nie muszą być prowadzeni za rękę przez brukselskich biurokratów, nie trzeba im tłumaczyć, czym jest dobre, a czym złe słowo i czego wolno im słuchać, a czego nie.

Bruksela wie i ustanawia siebie strażnikiem wolności słowa, czego doskonałym przykładem jest zapis o dezinformacji. W zasadzie drobna przeróbka Art. 83 ust. 1 Traktatu o Funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Niby nic wielkiego, tyle tylko, że zgodnie ze zmienioną treścią artykułu o najgroźniejszych przestępstwach transgranicznych mowa nienawiści jest zbrodnią obok aktów terroryzmu czy porwania ludzi. Europrzestępstwo będzie musiało być wpisane do narodowego kodeksu karnego i obłożone jednolitą kryminalną sankcją minimalną w całej Europie.

Kiedy kilka konserwatywnych mediów jak „Brussels Signal” podniosło raban, inne uspakajały, że większość państw i tak ma już własne zakazy i prawa mające eliminować mowę nienawiści. To fakt, w 2008 roku UE przyjęła kierunkowe zapisy o „Walce z Rasizmem i Ksenofobią” i kolejne kraje się do niej dostosowywały. Od 2003 roku wyroki sądowe w kwestiach dyskryminacji i szerzenia nienawiści są monitorowane w całej Europie.

W samej Polsce rocznie stawiane jest jakieś 400 zarzutów kryminalnych w związku z nawoływaniem do przemocy. Sprawozdawca parlamentarnej większości Maite Pagazaurtundúa uznała jednak, że mowa nienawiści zasługuje na coś więcej, bo raz, *mowa nienawiści podważa fundamentalne wartości UE, a dwa, że*

media społecznościowe nadają każdemu przestępstwu wymiar transgraniczny.

To na pozór niewiele mówiące zdanie jest tu kluczowe. Nie tylko, że mowa nienawiści staje się euro-zbrodnią, ale artykuł 83 sprawia, że doskonale działa w konercie z Aktem o Usługach Cyfrowych. DSA już wcześniej zmuszał platformy społecznościowe do grzebania w naszych treściach i usuwania nieoprawnych informacji. Teraz, oprócz cenzurowania, będą zobligowane zawiadomić prokuraturę. A to, czego Google z Facebookiem nie wyłapią, to na pewno wyłowią aktywiści.



Paul Coleman, prezes austriackiej Fundacji Obrony Demokracji w doskonałej książce „Cenzurowani – czyli jak europejskie zakazy mowy nienawiści zagrażają wolności słowa”, zauważa: *enigmatyczne definicje mowy nienawiści, sprawdzają się do zakazywania słów czy fraz, a nie do badania prawdziwości twierdzenia.* Ogranicza swobodę wypowiedzi, zamiast zakazywać określonych czynów czy choćby nawoływania do przestępstw. Rzecz w tym, że podobne prawa mamy już od lat w całej Europie, ale nie o samo przestępstwo chodzi Komisji tylko o słowo, które chce kontrolować.

Podstawowe pytanie – co ma definiować mowę nienawiści? Parlament nie odpowiada na to pytanie. Nie ma tam żadnej warunkowości, nie ma definicji znamion podżegania do przemocy czy strat materialnych. Cała narracja odnosi się do naruszeń „godności ludzkiej”. Dokument koncentruje się na tym, kto może być ofiarą, a nie jakie konkretne działania sprawią, że możemy kogoś nazwać ofiarą. Tego nie ma w żadnych zapisach, natomiast dość szczegółowo dowiadujemy się, kto ma prawo być ofiarą. Otóż ofiarą można być z uwagi na płeć, orientację seksualną,

tożsamość płciową, ekspresję płciową, cechy płciowe, wiek, niepełnosprawność i wszelkie inne możliwe cechy osobowe. Pomylenie z poślągnięciem. Nie konkretna wyrządzona krzywda, ale tożsamość człowieka może uczynić z niego ofiarę. Tożsamość i „inne możliwe cechy osobowe”. Unia zostawia szeroko otwartą furtkę na wypadek, gdyby na horyzoncie pojawiła się jakaś nowa tożsamość zasługująca na miano potencjalnej ofiary. Ba, Parlament wzywa Komisję do *rozważenia otwartego podejścia* – czytamy w komunikacie prasowym Parlamentu i dalej – *podstawy dyskryminacji nie będą ograniczone do zamkniętej listy, aby upewnić się, że przepisy obejmują incydenty motywowane zmieniającą się dynamiką społeczną.* Brzmi absurdalnie, ale w rzeczywistości jest to spójne z całą ideologią woke. Rewolucyjne przebudzenie społeczne ograniczone do tożsamości osobowych. Przy czym komisja zakłada, że wkrótce ujawnią się nowe, kolejne niszowe tożsamości, którym będzie przysługiwało prawo do bycia ofiarą.

W programie o Zachodzie wspominałem, że multiplikowanie się tożsamości jest naturalną konsekwencją modelu opartego na konflikcie plemion. Żeby zaistnieć, jednostki aspirujące do pozycji lidera muszą tworzyć własne wariacje seksualne czy rasowe. Własne plemiona. Zgodnie z prawem Hansona podział może być procesem nieskończonym i każda nowa tożsamość, każde nowe plemię ma prawo do czucia się ofiarą, po drodze dokładając oczywiście więcej literek do trenczowego alfabetu. Proces ostatecznie prowadzi do rozpadu wspólnoty obywateli, na co również Hanson zwraca uwagę czy, jak woli Bruksela, narodzin społeczności ponadnarodowej.

Ale to, co dla nas tu będzie ważne, to jest to, że nowe prawo dalej będzie zawężyło swobodę wypowiedzi i będzie miało mrozący wpływ na uczestników dyskursu publicznego. Co zwykle objawia się autocenzurą i ucieczką w nowo mowę – czyli mówienie tak, żeby być zrozumianym, ale się nie narazić.

Jak ktoś nie pamięta czasów PRL-u, to polecam prace profesora Michała Głowińskiego o sztuce poruszania się w równoległym języku – „nowomowy”. Europejski Trybunał Praw Człowieka idąc tym tropem, już zaczął zabezpieczać się na taki wypadek. W sprawie urażonych uczuć

pewnego geja stwierdził, że mowa nienawiści może być również ukryta w stwierdzeniach, które na pierwszy rzut oka mogą wydawać się racjonalne lub normalne. Chodzi o wydzwięk niewinnego stwierdzenia, które ujęte w innym kontekście, również może być przestępstwem nienawiści.

Amerykańska autorka Nadine Strossen w książce „Hate Speech”, pisze, że: zakazy „mowy nienawiści” z natury rzeczy prowadzą do nadinterpretacji, a ta do autocenzury i konsekwentnie do ograniczenia wolności słowa. Prawo, gdzie ludzie muszą zastanawiać się, jak zwykłe słowa mogą być odebrane, zniechęca do wymiany myśli i obrony swojego zdania, czyli nie mniej ni więcej do egzekwowania swoich konstytucyjnych praw – pisze Strossen.

Pani Pagazaurtundúa twierdzi oczywiście, że nowe przepisy nadal będą gwarantowały obywatelom wolność wypowiedzi, ba może nawet ułatwią życie, bo będą ustalone stałe normy i wzorce dobrej mowy. Rzeczywistość pokazuje nam coś dokładnie przeciwnego. **Regulacje mowy czynią nasze życie coraz bardziej złożone i pełne paradoksów.**

Tak jak to mieliśmy już w przypadku przedstawienia „Monologii waginy”, niegdyś awangardy wyzwolenia feministycznego, które zostało zakazane na Uniwersytecie w Michigan, ponieważ uwłaczało kobietom – transseksualnym, które nie mają waginy.

W Wielkiej Brytanii, gdzie policja od dawna zaangażowana jest w wojnę o poprawność słowną, mieliśmy precedensowy przypadek aresztowania działaczki feministycznej za wpis na Facebooku, że „transkobiety to mężczyźni”. Czy przywoływanie Listu do Koryntian św. Pawła, gdzie potępiony jest homoseksualizm, skazuje nas na zarzuty karne, bo narusza czyjąś „godność”? Czy stwierdzenie, że istnieją tylko dwie płcie, zostanie uznane za przestępstwo? Te pytania nie są już częścią retoryki. To już się dzieje.

Niewyrazistość zapisów genialnie wpisuje się w postmodernistyczną ideologię woke. Świat, gdzie wszystko podlega interpretacji i wszystko, nawet prawo, staje się ruchome.

Zacytuję fragment mojej ulubionej książki kanadyjskiego filozofa Stephena Hicksa „Tłumacząc Postmodernizm”: *W postmodernistycznym dyskursie prawda jest odrzucana, a spójność jest rzadkością. Z jednej strony wszystkie kultury w równym stopniu zasługują na szacunek; z drugiej strony kultura zachodnia jest destrukcyjna i zła. Wartości są subiektywne, ale seksizm i rasizm nie podlegają dyskusji.* Zgodnie z teorią Marcusa w miarę postępów wyzwolenia seksualnego, przybywać będzie nam pól konfliktu, a Bruksela będzie dopisywała kolejne ofiary do swojego pocztu mowy nienawiści.

Czy po latach zmian w prawie i ścigania najróżniejszych zbrodni mowy, mamy bardziej pokojowo nastawione społeczeństwa, przyjaźniejsze mniejszościom, imigrantom, grubym, starym? Przeciwnie. Uniwersytet w Oslo przeprowadził badania, z których wynika coś dokładnie przeciwnego. Wskazuje, że ograniczenia wypowiedzi sprawiają, że nagromadzone żale w wyniku braku swobodnej wypowiedzi co najwyżej pogłębiają polaryzację, a nie ją niwelują. Ekstremistyczne organizacje zamiast podkulać ogon, rosną w siłę, po obu stronach politycznej barykady.

Do podobnych wniosków doszli uczeni z UNESCO. Jak na ONZ przystało, badania robione z niewiarygodnym rozmachem miały stanowić podstawę do opracowania strategii walki z trollami nienawistnikami.

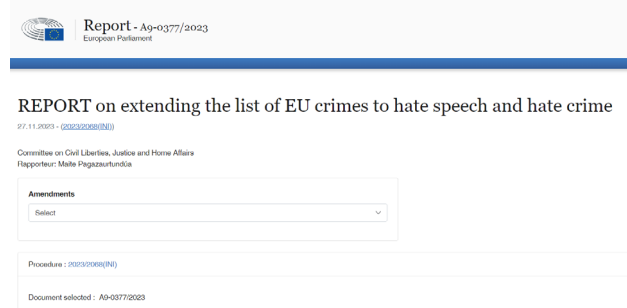
Na koniec badania uczeni stwierdzili, że owszem można zamknąć dostęp do poszczególnych kanałów komunikacji, ale nie można odciąć ludzi od treści, które po chwili pojawiają się w innym miejscu ze wzmożoną siłą.

Izraelski uczyony Amichai Magen odkrył, że resentymenty będące efektem cenzury są znacznie większym zagrożeniem dla stabilności państwa niż nawet najbardziej wywrotowe treści puszczone na żywioł... i dalej, że: *demokracje, które chronią wolności polityczne, cieszą się potrójną przewagą demokracji.* Doświadczają mniej radykalnych aktów przemocy i protestów ulicznych czy nawet ataków terrorystycznych, niż demokracje z rozbudowanym systemem kontroli mediów politycznych.

W 1964 roku Nelson Mandela skazany został na dożywotnie więzienie za akty terroru, między innymi wysadzenie rządowych instalacji. Ale nie sam wyrok przeszedł do historii, co mowa, jaką Mandela wygłosił w swojej obronie, usprawiedliwiając użycie przemocy przeciwko reżimowi apartheidu: *Wszystkie zgodne z prawem sposoby wyrażania sprzeciwu wobec [supremacji białych] zostały nam odcięte przez ustawodawstwo i znaleźliśmy się w sytuacji, w której musieliśmy albo zaakceptować stały stan niższości, albo przeciwstawić się rządowi.*

Nelson Mandela twierdził, że przemoc w państwie pozbawionym gwarancji wolności słowa, nie tylko jest uzasadniona, ale jest jedynym mechanizmem ekspresji. Nawet jeśli ich cenzorami są demokratycznie wybrane rządy, a nie autorytarny apartheid, frustracja szybko przeradza się może w przemoc.

Niestety przewodnicząca Komisji Europejskiej twierdzi coś dokładnie innego. Na Światowym Forum Ekonomicznym wygłosiła płomienne mowę, twierdząc, że największym globalnym zagrożeniem nie jest dziś wojna w Ukrainie czy zmiany klimatyczne, ale *dezinformacja i mowa nienawiści, prowadząca do polaryzacji naszych społeczeństw* i co gorsza do utraty zaufania Europejczyków do unijnych instytucji. Winę za brak autorytetu, niechęć i obelgi pod adresem Brukseli przewodnicząca nie tłumaczy źle stanowionym prawem czy brakiem przejrzystych demokratycznych procedur, wręcz przeciwnie – to mowa nienawiści sprawia, że dobre decyzje Brukseli są demonizowane.



Podobną odwróconą konstrukcję logiczną znajdziemy we wniosku do Parlamentu

Europejskiego, gdzie mowa nienawiści ma być sprawcą narodzin *ekstremistycznych i populistycznych ruchów politycznych, które zagrażają demokracji.* Żeby nam to teraz nie umknęło. Utrata zaufania do UE jest konsekwencją mowy nienawiści inspirowanej z zewnątrz. Na poparcie komisarz Jurova przytacza twarde dane. W samym tylko 2023 roku służby dyplomatyczne UE odkryły 750 rosyjskich kampanii dezinformacyjnych sklasyfikowanych jako „zagrożenie dla bezpieczeństwa”.

Co też wynika z raportu Royal United Services Institute, na który powołuje się Parlament Europejski w swoich wnioskach, że demokracja w unijnym wydaniu zagrożona jest przez organizacje populistyczne napędzane mową nienawiści. Wspomniany izraelski uczyony Magen odwraca argument, twierdząc, że coraz trudniejsze poruszanie się po labiryncie nowomowy, sprawia, że zachodnie społeczeństwa stają się łatwiejszym łupem dla najróżniejszych teorii spiskowych i rosyjskich trolli.

Mowa nienawiści pozbawiona jasnej definicji i ram prawnych sama w sobie staje się narzędziem do uprawiania populizmu politycznego. Na przykład dezawuowania każdego, kto kwestionuje prawo urzędników do przejmowania kontroli nad suwerennymi organami państw narodowych.

Ojciec konserwatyizmu Edmund Burke w eseju z 1770 roku pt. „Myśli o przyczynach niezadowolenia” skrytykował Jerzego III za obchodzenie Parlamentu, rządzenie królewskimi dekretemi i zastępowanie wybieralnych parlamentarzystów uległymi urzędnikami. Przy czym król cały czas głosił peany na rzecz ustroju parlamentarnego i nawoływał do ścigania monarchistów chcących odebrać wolności obywatelom, przy czym najwięcej ich znajdował wśród parlamentarzystów.

Wkrótce odkryto – pisał Burke – że wolny ustrój państwa nie musi być sprzeczny z autokratycznym rządem. W trosce o zmanipulowane, zdeinformowane, potencjalne ofiary, urzędnicy wprowadzają ograniczenia naszych własnych swobód, których jak zawsze jedynym beneficjentem będą ci, którzy te granice wyznaczają, a nie ci, których mają chronić.

Wesprzyj
kanał
WOLNOŚĆ
W
REMONCIE
na



PATRONITE



patronite.pl/wolnoscwremoncie



KTO NAPRAWDĘ RZĄDZI UNIA?

Kiedyś dziwne wydawało mi się, że patronem Unii Europejskiej jest Karol Wielki, władca, który 45 lat z 46-letnich rządów spędził na mordowaniu i podbijaniu innych narodów. Że instytucja mieniąca się największym projektem pokojowym w dziejach ludzkości, mieści się w gmachu właśnie jego imienia. Już się nie dziwię. UE to najbardziej udana operacja zjednoczeniowa od czasów Franków i Longobardów. Tyle tylko, że zamiast zbroi rycerze mają subsydia, zamiast chmury strzał wytrawnych łuczników mają rozbuchaną konsumpcję i biurokrację, która dokonuje całej reszty niczym kawaleria Charlemagne.

Początki UE sięgają lat 50. i Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali, której celem było zażegnanie niemiecko-francuskich niesnasek. Traktat Rzymski w 1957 r. posunął integrację krok dalej. Wspólnota Gospodarcza – EWG tworzyła zintegrowany rynek, gdzie biedniejsze kraje miały stopniowo doganiać bogatsze. Konwergencja gospodarcza była jedną z największych obietnic jednolitego rynku i wspólnej waluty. Ale od 2008 roku zamiast konwergencji mamy dysproporcje, rosnącą asymetrię. Łączna wielkość gospodarek Włoch, Hiszpanii, Portugalii i Grecji jest dziś dokładnie taka sama w stosunku do

Niemiec, jak w momencie narodzin euro w 1999 roku. Co poszło nie tak?

Otóż droga, którą podążamy, to nie jest ta sama droga, jaką 73 lata temu Europejczycy wyruszyli szlakiem Schumana wyznaczonym Traktatami Rzymskimi, gdzie nie było miejsca ani na antyrynkowy model wspólnej polityki rolnej, ani tym bardziej Socjalnej Europy, czy ESG wzorowane na postmodernistycznych ruchach antykapitalistycznych. Największej wolty Europa dokonała w Maastricht, od 1993 roku Unia Europejska z organizacji koordynującej współpracę niezależnych demokratycznych państw, stała się instytucją ze stałą Komisją zarządzającą harmonizacją praw w państwach członkowskich. To jest ważne. Z unii państw o rozmaitych prawach, zwyczajach i przepisach, zgodnych są co do ducha demokracji, przerodziła się w unię państw dążących do ujednoczenia nie tylko praw, ale wszystkich sfer życia i obyczajów. Innymi słowy, weszła na drogę do stworzenia uniwersalnego państwa wielu narodów. Choć i narodowość zdaje się być tu przejściowa. Mówię o tym od kilku tygodni w przekonaniu, że zbliżające się wybory do Parlamentu Europejskiego mogą być kolejną cezurą do nowej europejskiej rzeczywistości.

Większość dokumentów i unijnych tekstów publicystycznych przedstawia Maastricht jako ważny krok na „długiej drodze do europejskiej jedności”.

Nie jesteśmy tu tylko po to, by stworzyć jednolity rynek, ale unię polityczną – to słowa Jacquesa Delors, przewodniczącego Komisji Europejskiej. W Maastricht zapadło całe mnóstwo decyzji, które odwróciły losy wspólnej Europy, ale zasiały też ziarna przyszłych napięć i konfliktów osłabiających Europę od środka. Jednym z nich było stworzenie wspólnej waluty – euro, które okazało się katastroficzne w skutkach dla biedniejszych państw. Głupotą było wyobrażanie sobie, że można stworzyć jedną politykę monetarną, która będzie pasować do Niemiec, Grecji, Holandii i Włoch bez jednolitego systemu podatkowego, jednolitej polityki finansowej i bez solidarnościowych instrumentów wsparcia – piszą Kenneth Dyson i Ivo Maes w książce „Architekci euro”.

Oprócz przypadkowych turystów jedynymi beneficjentami dziurawego i niechlujnego systemu byli Niemcy – piszą Dyson i Maes.

W przeciwieństwie do wcześniejszych traktatów, w Maastricht nie wprowadzono żadnych nowych rozwiązań liberalizujących stosunki gospodarcze w Europie. Nic, co mogłoby dodatkowo udroźnić rynek, wymianę handlową i wzrost dobrobytu. Istotą traktatów było stworzenie jednolitego modelu państwowości w ramach parasolowej harmonizacji, od teraz, krok po kroku mieliśmy ujednoczać wszystkie ramy prawne i społeczne. Jak twierdził Dolores: *to konieczny zabieg dla zintegrowania tak wielkiej liczby, tak różnych państw*. Żeby nam to nie umknęło, bo to będzie miało znaczenie dla zrozumienia obecnych planów zmiany traktatów. Żeby przyjąć do Unii Europejskiej Polskę, Czechy, Węgry, kraje bałtyckie, te dziesięć państw, które przystąpiły w 2004 roku, musimy się upewnić, że zmienią się na nasze podobieństwo. Karol Wielki wiecznie żywy.

Nawet jeżeli przyjmujemy, że dzięki harmonizacji udało się uniknąć części hipotetycznych konfliktów, to nie udało się ocalić europejskiego modelu dobrobytu, zakładającego, że wspólny rynek pozwoli na wykorzystanie synergii ekonomicznej państw i zapewni Europie niepowtarzalny wzrost.

Traktaty z Maastricht torowały drogę setkom innym przepisów i sztywnych regulacji, które jak walec do dziś spłaszczają różnice między narodami, w tym te, które Schuman uważał za największy skarb Europy, czyli bogactwo różnorodności kulturowej, mozaikę wierzeń i zwyczajów.

Derida Curtin w ważnym tekście o prawnych aspektach unijnej konstrukcji, zwróciła uwagę, że Maastricht było przełomem filozoficznym, odejściem od wspólnoty w rozumieniu wolnego rynku i ducha demokracji. *To był początek końca integracji moralnej na rzecz integracji silosowej*. Stąd też tytuł jej opracowania „A Europe of Bits and Pieces”.

Większość dokumentów i unijnych tekstów publicystycznych przedstawia Maastricht jako ważny krok na „długiej drodze do europejskiej jedności”.

Traktat stworzył Europę „kawałków i kawałeczków”. *Rezultatem szczytu jest Unia grożąca chaosem konstytucyjnym; a ofiarami są spójność i jedność pieczołowicie budowana od lat*. Traktat – według Curtin – porzucił myślenie dobrowolnej wspólnoty na rzecz normatywnego, obowiązkowego, legalizmu. Legalizm stał się najwyższą wartością Europy. Zespół ścisłych ram, z niewielkim marginesem interpretacji. Ram niezależnych od narodowych doświadczeń, obyczajów czy kultury. To sztywne przywiązanie do legalności swego czasu doskonale opisała amerykańska filozof etyki prawa Judith Skhlar.

W książce „Legalizm” pisała: *legalistyczny ustrój to postawa etyczna, która utrzymuje, że moralność określają obowiązki i zakazy wyznaczone przez prawo*. Skhlar przestrzegała, że narzucanie swoich racji i stylu życia przez administracyjne zapisy, z urzędnikami jako jedynymi wyroczniami obiektywności, może zagrażać demokratycznym procesom. *Legalizm jest formą biurokratycznej ideologii* – pisała Skhlar. Ideologii, która po Maastricht, tak naprawdę wyznaczała dalszy bieg Unii Europejskiej. Czego efektem z jednej strony jest postępująca unifikacja przepisów, ale z drugiej strony, nieznanne wcześniej napięcia w kwestiach migracji, wiary, klimatu, tożsamości seksualnej, a co gorsza stopniowa utrata unijnej konkurencyjności i znaczenia gospodarczego

w świecie, co nie powinno być zaskoczeniem. W końcu harmonizacja wszystkiego we wszystkich państwach wymaga masy przepisów, w tym przejściowych przepisów, mechanizmów monitoringu i tysięcy urzędników do monitorowania, co z natury rzeczy musi kosztować, obciążać system nadmiarem biurokracji, tworzy olbrzymią przestrzeń na popełnianie błędów. Im bardziej wyboista będzie ta droga do jednolitej Unii, tym bardziej unijnej eurokracji potrzebna będzie spójna ideologia legitymizująca jej istnienie.

Rok przed wejściem traktatu w życie Margaret Thatcher wystąpiła na szczycie w Hadze z pamiętną proroczą mową. Wywód zaczęła od piękna średniowiecznej architektury. *Katedry, które dały nam wzniosły duchowy pogląd na miejsce człowieka w świecie rządzonym przez wszechkochającego i wszechwidzącego Stwórcę. Wiek Rozumu – jak mówiła o średniowieczu – umieszczał cywilizowanego człowieka w uporządkowanym geometrycznie krajobrazie usianym neoklasycystycznymi budowlami w regularnych odstępach czasu – z nie więcej niż jednym małym szaleństwem na każdą posiadłość.*

Potem Thatcher mówi o beznamiętnej konstrukcji brukselskich budowli oddających stan umysłu, w tym chaos i bezmyślność Wspólnej Polityki Rolnej. Behemota przygniatającego swoimi kosztami i krótkowzrocznością ideę wspólnoty indywidualności dążących do perfekcji i wolności. Wyobraźmy sobie Wspólnotę Europejską od Niemiec po Ukrainę, od Wielkiej Brytanii po Polskę:

- wszystkie zarządzane z Brukseli;
- wszystkie mające takie same prawa pracownicze jak niemieckie związki zawodowe;
- wszystkie podlegające tym samym stopom procentowym, polityce monetarnej, fiskalnej i gospodarczej;
- wszyscy zgadzający się na wspólną politykę zagraniczną i obronną.

Takie ciało jest jeszcze bardziej utopijnym przedsięwzięciem niż Wieża Babel.

I ostatnie zdanie – muszę zacytować. *Upewnijmy się, że zbudujemy Europę tak wspaniałą i trwałą jak Mauritshuis* – budynek, gdzie od-

bywał się szczyt, dziś sławne muzeum, a niegdyś miejsce postoju holenderskich parlamentarzystów. *Trwałą jak Maurthuis, a nie tak efemeryczną jak Berlaymont* – jeden z budynków Komisji Europejskiej

Trzy lata po Maastricht słowa Thatcher zaczęły nabierać wyrazu. Europa zamiast przeganiać Amerykę i Azję, jak zapowiadali autorzy traktatów, coraz bardziej zostawała w tyle.

PKB na głowę mieszkańca wciąż jeszcze wynosił jakieś 94 proc. PKB amerykańskiego i aż pięć unijnych uczelni mieściło się w dziesiątce najlepszych na świecie. Nie było jeszcze najgorzej, ale ambicje Brukseli sięgały Himalajów. Z inicjatywy portugalskiej ekonomistki Marii Rodrigues powołano zespół do opracowania agendy, która miała w Europie zapewnić pierwszeństwo. We wszystkim – w edukacji, konkurencyjności, dobrobycie. Tak powstała strategia lizbońska. W marcu 2000 r. przywódcy uzgodnili, że UE ma być *najbardziej konkurencyjną i dynamiczną gospodarką opartą na wiedzy, zdolną do zrównoważonego wzrostu gospodarczego z większą liczbą lepszych miejsc pracy i większą spójnością społeczną*. Nad strategią pracowało kilka zespołów, jeden zajmował się odbiurokratyzowaniem Unii. Komisarz Mario Monti wygłosił w Lizbonie natchnione przemówienie: *Rynek wewnętrzny może działać i działać dobrze, ale państwa członkowskie muszą podjąć wysiłek, aby pozbyć się nadmiaru biurokracji*. Monti zaproponował nawet cały szereg dalszych działań „Uproszczonego prawodawstwa na rynku wewnętrznym”. W skrócie SLIM – abrewiacja dziwnie zbieżna z angielskim słowem smukły. To trzeba unijnym urzędnikom oddać, na marketingu znają się jak mało kto.

Zespół ds. smukłości przeanalizował 14 obszarów legislacyjnych, od prawa spółek po substancje szkodliwe. Raport końcowy napisał holenderski konserwatywny eurodeputowany Bert Doorn, który całość kończył sarkastyczną konstatacją: *albo prawo jest tak genialne, że nic się tu nie da uprościć, albo życie nie przystaje do prawa i prawo nie ma znaczenia*. Co zabawne, raport zwracał uwagę, że biurokratyzowane procesy sprawiły, że prace nad SLIM, nie mogły być w pełni przeprowadzone. Bariery biurokratyczne nałożone na zespół walczący z biurokracją okazały się nie do przejścia.

Przywódcy Unii Europejskiej wysłuchali raportu i zażądali od Komisji większej aktywności w walce z biurokracją. To były początki Internetu, PKB Unii do PKB US obsunął się o jakieś kolejne dwa punkty procentowe, a biznes narzekał, że regulacje i biurokracja utrudniają europejskim firmom rywalizację z amerykańskimi. Walka z biurokracją była „być albo nie być” europejskiej innowacyjności. Minęło 10 lat i okazało się, że była „nie być”. Europa nie tylko, że nie wygrała wyścigu cyfrowego, ale nawet nie zbliżyła się do Ameryki. Światem rządziły już wielkie cyfrowe korporacje – Apple, Alphabet, Amazon, na horyzoncie przebłyskiwały już firmy z Chin.

Porażki w Brukseli to codzienność i żadna porażka nigdy jeszcze żadnego biurokraty do niczego nie zniechęciła.

W 2001 roku zespół do spraw smukłości przyznał, że nie udało się odwrócić dziesięcioleci nadmiernych regulacji UE, a Anna Lindh, w imieniu szwedzkiej prezydencji przyznała, że Lizbońska agenda *musi być uznana za spektakularną porażkę*.

Porażki w Brukseli to codzienność i żadna porażka nigdy jeszcze żadnego biurokraty do niczego nie zniechęciła. Warto o tym pamiętać, kiedy w przyszłości wyda nam się, że protestami czy argumentami uda się unijnych urzędników od czegokolwiek odwieść. Także w 2005 roku przewodniczący Barroso ogłosił nowy ambitny projekt walki z biurokracją i zwiększania konkurencyjności Europy. W ramach odbiurokratyzowania spośród 183 projektów ustaw, Komisja wycofała 68 i dokonała przeglądu 6 innych w celu przeprowadzenia dalszej analizy wpływu uproszczeń na jakość legislacji pod kątem konkurencyjności. Barroso przedstawił 12 rekomendacji. Czegóż tam nie było. Pełna ratyfikacja umów o wymianie usług cyfrowych, karta euro-pracownika – gdzie każdy z profesjonalną kartą mógłby pracować w całej Europie nawet jeżeli jakiś zawód jest lokalnie regulowany. Dla jasności umysłu zrobiono ogólnoeuropejskie badanie, specjalną ankietę, w której obywatele mieli wskazywać najbardziej uciążliwe przepisy. Wyniki ankiety prezentował Günter Verheugen, unijny komisarz ds. przedsiębiorczości i przemysłu.

Zdawał się być bardzo zaangażowany i przejęty misją, mówił między innymi, że 24 tysiące urzędników – wtedy było ich jeszcze tylko 24 tysiące – ma zbyt wiele władzy w swoich rękach i są przyczyną nadmiaru biurokracji.

Żeby temu zaradzić powołano Grupę Wysokiego Szczebla ds. Obciążeń Administracyjnych (HLG). Grupa miała wdrażać Program Działań na rzecz Zmniejszenia Obciążeń Administracyjnych w Unii Europejskiej.

Przewodniczy jej Edmund Stoiber, były premier Bawarii. Uznano, że skoro administracja najlepiej działa w Bawarii, to jak się weźmie Bawarczyka do Brukseli, to w Brukseli będzie jak w Monachium. W skład ekipy weszło 15 stałych członków specjalistów w zakresie lepszego stanowienia prawa. Mandat grupy wysokiego szczebla był dwukrotnie przedłużany w 2010 i 2012 roku, aż do 2014 roku. Grupa wysokiego szczebla przyjęła ponad 45 opinii i sprawozdań, w których przedstawiono Komisji kilkaset sugestii dotyczących sposobów zmniejszenia obciążeń administracyjnych.

Grupa oszacowała, że całkowity potencjał redukcji obciążeń administracyjnych przekracza 41 mld EUR rocznie. Tyle miano oszczędzić na zbędnych przepisach i urzędnikach. Bruksela według słów Barroso miała stać się teraz *instytucją mniej ingerującą i bardziej skoncentrowaną na ważnych kwestiach*.

To jest rok 2014 i PKB UE wynosiło już 83 proc. PKB US. Agenda Lizbońska już nie żyje, program smukłości zawiódł i HGL też nic nie przyniósł z wyjątkiem dużej ilości zadrukowanego papieru we wszystkich językach Europy. Według Komisji winę ponosił kryzys 2008 roku, który *zniweczył lata postępu gospodarczego i społeczno-gospodarczego oraz ujawnił strukturalne słabości europejskiej gospodarki*. Przed nami stanęły długoterminowe wyzwania – globalizacja, presja na zasoby, starzenie się wymagające nowej strategii.

To wtedy po raz pierwszy pojawia się propozycja premiera Davida Camerona, by „fundamentalnie zmienić” relacje Wielkiej Brytanii z UE i pozwolić Londynowi iść drogą wyznaczoną jeszcze przez Thatcher w Hadze. Samej zmagać się z biurokracją.

Rzecz, jak wiemy nie spotkała się ze zrozumieniem w Brukseli. Żadnych odchyleń, nawet kosmetycznych zmian. Bruksela jednak czuła, że nie wystarczy zbyć Wielkiej Brytanii oskarżeniami o populizm i przystąpiła do tworzenia nowego planu walki z biurokracją.

Regulatory Fitness and Performance Program w skrócie REFIT, czyli kolejna chwytliwa marketingowo abrewiacja. REFIT po angielsku to remont, dostosowanie. W ramach REFITU Komisja zapewniła, że ograniczy biurokrację, wszędzie, gdzie to tylko możliwe. Ale jakoś tak dziwnie się dzieje w Brukseli, że z każdym nowym programem walki z biurokracją i odgrążaniem się zwolnieniami urzędników, pojawia się nowy projekt regulacji, tak ważny, że karze nam natychmiast zapomnieć o zwolnieniach i ograniczaniu przepisów.

W 2022 roku mamy wynik nowej ankiety na temat przeszkód dla wzrostu dobrobytu i dowiadujemy się z niej, że średnio 75 proc. mieszkańców UE uważa, że Unia jest przeregulowana i nadmiernie zbiurokratyzowana. Przedsiębiorcy twierdzą, że biurokracja ciąży gospodarce.

Po wejściu w życie Zielonego Ładu biznes zaczyna już gremialnie jęczeć. Firmy domagają się uproszczenia, często sprzecznych ze sobą zapisów i kiedy już wydaje się, że nowa wielka inicjatywa odbiurokratyzowania jawi się na horyzoncie, w Brukseli pojawia się rewolucyjny raport. Otóż urzędnicy UE z troską spoglądają na dążenia do ograniczenia biurokracji, bo to pozwoli firmom unikać odpowiedzialności klimatycznej. Według Komisji, gdyby raportowanie wpływu na klimat stało się proste, albo nie daj boże, dobrowolne, to *nigdy nie osiągniemy celów klimatycznych*. I zanim się zorientowaliśmy, na tapecie były już kolejne biurokratyczne Behemoty, czyli Zielony Ład, ESG, CSRD, DSA, Media Freedom Act. Każdy dalej windujący biurokratyczne potrzeby do entej potęgi.

Prawo Parkinsona głosi, że *praca rozrasta się odpowiednio do dostępności czasu urzędnika*. Nie realne potrzeby, ale zasoby urzędnicze, decydują o ilości i jakości prawa. Czyli im więcej jest urzędników i im więcej mają czasu, tym większy będzie zakres biurokracji. W każdym systemie politycznym walutą przetargową są miejsca pracy. Polityk nagradza wiernych i lojalnych etatami w instytucjach kontrolowanych przez państwo. W Unii potrzeby etatów do obsadzenia są zwielokrotnione. Nie tylko za sprawą liczby ugrupowań politycznych, ale też liczby państw i zewnętrznych instytucji, od których zależą nominacje w ramach Komisji. Stąd mamy sławną unijną karuzelę, gdzie politycy krążą między parlamentem, Komisją, instytucjami zależnymi, agencjami lobbystycznymi i z powrotem. Dla przykładu, na liście proponowanych reform odbiurokratyzowania znalazła się redukcja liczby dyrektorów generalnych. Otóż Komisja ma 33 stanowiska dyrektorów generalnych, bo tyle ma dyrektoriatów, ale na liście płac widnieje ponad 100 urzędników w randze „dyrektora generalnego”. W większości nominowanych w ramach jakichś mozolnych negocjacji politycznych. Ta zamknięta bańka ludzka dopracowała się nie tylko własnych wewnętrznych regulacji i gwarancji pracy, ale też całej filozofii swojej egzystencji.

W 2017 roku pojawia się kolejny Behemot, czyli 20 wielkich celów – Europejski Filar Praw Socjalnych. Unia ma od teraz gwarantować równość, prawo do godnego mieszkania, godnego wynagrodzenia, sprawiedliwych warunków pracy. Dziesiątki zapisów i regulacji, jakimi obciążony został biznes i które wielki projekt podnoszenia konkurencyjności europejskich firm cofa o kilka lat, natomiast zwiększa zapotrzebowanie na urzędników. PKB EU do PKB US w 2017 roku było już 72 proc.

Komisja twierdzi jednak, że dalej regularnie monitoruje postępy w ramach REFIT za pomocą tablicy wyników REFIT, która śledzi inicjatywy REFIT w całym ich cyklu życia. Nie wszystko jednak poszło zgodnie z tabelkami, bo w 2021 r. Parlament chce intensyfikacji działań i proponuje rewolucyjne podejście „one-in, one-out”. Czyli za każde nowe prawo jedno stare prawo musi wylecieć. Rzecz w tym, że każde nowe prawo konstruowane jest teraz tak, żeby inkorporować stare prawo. Liczbowo jest ich mniej, ale nie, jeżeli chodzi o obciążenia dla obywateli i firm.



Swego czasu tygodnik „The Economist” stworzył profil unijnego urzędnika. „Brukselską elitę” opisał jako *wyjątkową grupę osób podzielających silną wiarę w wartość integracji europejskiej*. Dla eurokratów *Europa jest projektem opartym na wierze*, a szeroko rozumiany „nacjonalizm, czyli przywiązanie do tego, co państwowe, jest największym złem”. Wielonarodowi, wielojęzyczni i kosmopolityczni europejscy biurokraci żyją w przekonaniu, że służą *marzeniu o zjednoczonej Europie*. Europejscy biurokraci myślą o Europie jako o jakiejś formie wyższego ideału, a zatem arbitralnie odrzucają każdego, kto wskazuje na felery ich misji integracji.

Stąd też protesty rolników w narracji brukselskiej są populistycznym ruchem sprzyjającym nacjonalistom. Troska o dobrobyt i bezpieczeństwo własnego gospodarstwa rolnego jest wtórna, bo wielka idea wspólnej Europy jest wartością nadrzędną, a prawda o Europie jest tylko jedna i jej źródłem są urzędnicy.

Dwójka autorów Antonis Ellinas i Ezra Suleiman prowadziła tysiące rozmów z unijnymi urzędnikami, studiowali tysiące dokumentów, narad, relacji z negocjacji Brukseli z narodowymi rządami. I jak piszą: *Często wydaje nam się, że nawet jeżeli unijni urzędnicy tego nie mówią, to przede wszystkim służą interesom swoich państw*. Utrzymują związki nie tylko z rodzinami w kraju, ale z politykami i swoimi rodzinnymi rządami. Nawet jeżeli tak jest – zauważają autorzy – to w obliczu kryzysu europejskiej polityki, ataków na niedemokratyczne procedury i niejasny proces decyzyjny. Nadzorcy Europy – jak nazywają brukselską eurokrację – nadzorcy nie wahają się występować przeciwko rodzimym rządowi, aby wzmocnić własną legitymację. Doświadczaliśmy tego przy okazji sporów o praworządność, gdzie doradcami pani Komisarz Very Jurovej byli dwaj polscy urzędnicy, przekonani, że nade wszystko służą wyższej racji.

Jak wskazali nasi rozmówcy, uporczywe ataki polityczne na biurokrację pomogły urzędnikom zjednoczyć się i zewrzeć szeregi, aby bronić swojej organizacji przed zewnętrznymi atakami.

„The Economist” uważa, że ze względu na luksusowe warunki pracy, pieniądze, stabilne zatrudnienie i sowiłą emeryturę, urzędnicy *nie chcąc szukać kariery w stolicy swojego kraju, w Madrycie czy Rzymie, co sami sobie tłumaczą wiarą w wyższą wartość, jaka jest zjednoczona Europa*. Uważają się za strażników nowej Europy, za misjonarzy wyższej racji. *Dlaczego zatem ich poglądy często tak bardzo różnią się od poglądów europejskich obywateli? Dlaczego ich rodacy nie spostrzegają ich jako misjonarzy?* To jedno z pytań, jakie powtarzało się w ankietach z euro-urzędnikami. I odpowiedzi też były dość spójne. Badania wskazują na ogólny konsensus wśród europejskich urzędników co do tego, że bronią oni interesów przyszłych Europejczyków. Nie mogąc uzyskać legitymizacji od współobywateli, urzędnicy twierdzą, że służą przyszłemu pokoleniu Europejczyków. Argument, który znamy z ideologii klimatystów walczących o dobro dla ziemian, którzy tu przyjdą po nas za sto, dwieście lat i dopiero oni docenią nasze wyrzeczenia.





Jak pisał Bjørn Lomborg w „Falszywym Alarmie” swój aktywizm racjonalizują utopijną wizją przyszłości, w rzeczywistości wypełniający pustkę w swoim życiu, tu i teraz. I nie przypadkiem klimatyzm stał się tak ważnym elementem unijnej polityki. Wdziera się wszędzie od polityki energetycznej przez przemysłową, korporacyjną czy nawet zbrojeniową.

Tym, co zbliża do siebie te dwa światy, świat aktywistów i świat euro-nadzorców Europy, nie jest ideologia, ale konstrukcja argumentu, stawianie się ponad interesami tych, w imieniu których występują, co daje im poczucie misji i poczucie wyższości. Coś, co sprawia, że urzędnik, w swojej podświadomości przestaje być egoistycznym urzędnikiem skoncentrowanym na własnych apatażach, ale staje się misjonarzem wielkiej sprawy.

Hannah Arendt nazwała niegdyś biurokrację najokrutniejszą formą rządzenia, w eseju

„O przemocy” w 1970 roku pisała: *Im większa biurokratyzacja życia publicznego, tym większa atrakcyjność przemocy. W pełni rozwiniętej biurokracji nie ma już nikogo, z kim można by się spierać, komu można by przedstawiać skargi, na kogo można by wywierać presję władzy. Biurokracja jest formą rządów, w której każdy jest pozbawiony wolności politycznej, mocy działania; ponieważ rządy przez nikogo nie są żadnymi rządami, a tam, gdzie wszyscy są równie bezsilni, mamy tyranię bez tyra.*

I im głębiej będziemy zapadać się w reżimie niezrozumiałych praw i bezdusznych regulacji, tym bardziej będziemy skorzy do podejmowania walki z nadmiarem biurokracji, których czempionem będą nasi euro-nadzorczy doskonale rozumiejący, że z każdym programem debiurokratyzacji, to oni stają się silniejsi, a my bardziej bezradni i zdani na ich wolę.

JAK KORPORACJE I MARKSIŚCI ZROBIŁY Z UE BIZNES?

Dyrektywa Environment Social Governance – ESG to bodaj czy nie największe zwycięstwo lewicy od rozpadu Związku Sowieckiego, a dla nas, dla całej reszty to upadek europejskiego modelu dobrobytu.

Społeczne i klimatyczne ambicje biznesu nie są czymś nowym ani czymś złym. Firmy chcą i powinny być postrzegane jako dobry pracodawca, przyjazny dla otoczenia i przyjazny dla klimatu. I tyle o zbawiennej roli kapitalizmu, bo ESG, ta nowa unijna doktryna, to przeciwieństwo niewidzialnej ręki rynku. Ideologiczna instrumentalizacja biznesu, próba zaprzęgnięcia firm, ich właściciel, inwestorów i pracowników do realizowania ideologicznych celów Komisji Europejskiej. Jeszcze przez jakiś czas monitorowanie i raportowanie w kwestiach klimatycznych, płciowych, tożsamości seksualnych będzie dobrowolne, ale już wkrótce wpłynie na wycenę i wartość przedsiębiorstwa. Firmy, żeby poprawić swoją zdolność kredytową, atrakcyjność giełdową, dostęp do unijnych funduszy czy rządowych kontraktów, będą musiały wdrażać kosztowne programy naprawcze. Bruksela nazywa to zrównoważonym rozwojem, choć nie ma tu miejsca na rozwój, bo programy nie poprawią wydajności, zyskowności czy innowacyjności firm, przeciwnie zwiększą

koszty, ograniczą konkurencyjność, a w konsekwencji poziom dobrobytu nas wszystkich.

Przy ponad 2400 regulacji trudno jest jednym zdaniem zreasumować koncept ESG. Jeżeli ktoś ma cierpliwość, to podeślę skrócony spis treści. Od samego patrzenia na to bolą oczy.

Ale dwie rzeczy wiemy na pewno. Po pierwsze raportowanie ESG to tak naprawdę techniczne ramy wizji nowej Europy – Europy „degrowth”, wspominałem już o tym – *degrowth*, czyli zatrzymanie wzrostu gospodarczego dla realizacji celów klimatycznych. Po drugie, ESG to demontaż kapitalizmu, firmy w swoich strategiach nie będą już mogły kierować się samym zyskiem, czyli muszą zrezygnować *świętego obowiązku każdego przedsiębiorcy* – jak w 1970 roku pisał noblista Milton Friedman, w sławnym artykule „O społecznej odpowiedzialności biznesu”. Friedman odrzucał wszystkie polityczne i ideologiczne cele przypisywane firmom i mówił, że każdy przedsiębiorca ma tylko jeden nadrzędny obowiązek i jeden zakaz. We wszystkim co robi, ma się kierować zyskiem akcjonariuszy i pod żadnym warunkiem nie ma prawa wystawiać pieniędzy inwestorów na ryzyko polityczne. W gospodarce rynkowej przedsiębiorca mógł mieć poglądy polityczne,

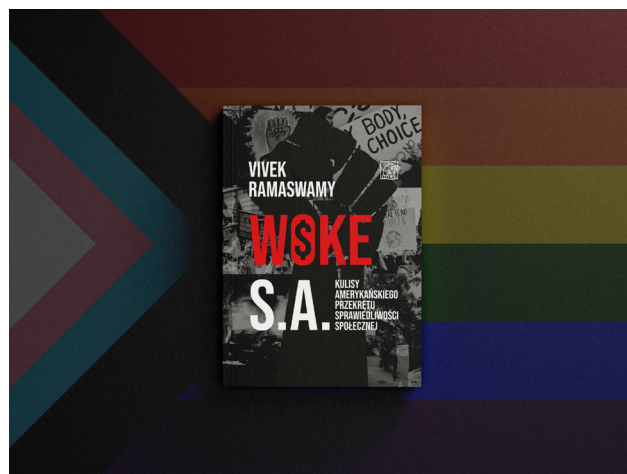
ale musiał je zostawić przed wejściem do firmy. Nie mógł wykorzystywać pieniędzy inwestorów do finansowania swojej ulubionej ideologii czy partii politycznej. Ta niepisana zasada, według Viveka Ramaswamiego, to tajemnica zachodniego dobrobytu i tego, że nasz świat nie wygląda dziś jak putinowska oligarchia czy chińska autarchia.

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością. Spółka Z O.O. – tych kilka enigmatycznych liter na końcu, znaczy ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że firma odpowiada za swoje czyny do wielkości kapitału. Jeżeli wypuści na rynek szkodliwy produkt, zanieczyści środowisko czy nie spłaci swoich długów, to nikt nie będzie żądał dodatkowego odszkodowania od przypadkowych inwestorów. Nikt nie przyjdzie zając ci domu czy samochodu, bo kupiłeś za tysiąc złotych akcje spółki. Na co dzień o tym nie myślimy, ale ograniczona odpowiedzialność inwestora to olbrzymi przywilej firm, ale też wspaniałomyślny gest całego społeczeństwa, które zrzeka się ewentualnych roszczeń w imię gospodarczego rozwoju i postępu. Gest, który sprawia, że nie boimy się inwestować nawet w najbardziej ryzykowne przedsięwzięcia, a te ryzykowne przedsięwzięcia – startupy, czasem wyrastają na globalne spółki, dają pracę setkom tysięcy ludzi, a nasze uciutane oszczędności obracają chociażby w bezpieczne fundusze emerytalne.

Jest tylko jeden warunek, pod jakim społeczeństwo zrzeka się ewentualnych roszczeń. Otóż pieniądze inwestora nie mogą być wykorzystywane przeciwko jemu samemu. Nie mogą służyć do prowadzenia działalności politycznej, kupowania polityków, mediów, żeby obejść demokratyczny proces, wymusić rozwiązania, które powinny być rozstrzygane w wyborach.

Tak na marginesie, wiecie, dlaczego ruch LGBTQ, który ma bardzo precyzyjne cele, w tym cele politycznych zmian zapisów ustawowych, tak uporczywie powtarza, że nie jest ruchem politycznym? To hasło: „To ludzie, a nie ideologia”? Dopóki uważani są za ruch społeczny, szerzący miłość i prawa człowieka, mogą otrzymywać korporacyjne wsparcie. Finansowanie partii czy ideologii LGBTQ to byłoby właśnie sprzeniewierzenie zaufania inwestorów.

Otóż ESG ma to zmienić. Unia chce, żeby firmy finansowały wartości i ciągnące się za nimi ideologie, żeby stawiały sobie cele moralne, nawet jeżeli nie mają one nic wspólnego z działalnością firmy. Żeby przedsiębiorcy wymuszali na swoich pracownikach, dostawcach, klientach określone postawy ideowe.



wydawnictwowei.org.pl

Rzecz doskonale opisał Vivek Ramaswami w książce „Woke Inc.”, także nie będę już wyliczał długiej listy absurdów, na jakich oparta została dyrektywa ESG, przypomnę tylko skróconą logikę tej mantry. Powiedzmy, że producent samochodów, zużywa surowce naturalne do produkcji auta – czyli zużywa zasoby całej planety i zamieszkujących ją istot, a potem samochód emituje CO₂ i zanieczyszcza wspólne powietrze, co z nas wszystkich ma ponoć czynić interesariuszy tego motoryzacyjnego przedsięwzięcia. Swoich pieniędzy nie zainwestowaliśmy, ale jako że mieszkamy na tej samej planecie, to tak jakbyśmy zainwestowali część siebie i teraz powinniśmy partycypować w zyskach.

Koncept nie jest zupełnie nowy. Przypomnę, że w marksizmie środki produkcji miały należeć do równie abstrakcyjnego bytu, jakim były masy czy klasa robotnicza. Ale tak jak w marksizmie, w ESG „interesariusze”, nigdy nie zobaczą żadnych pieniędzy. Co nie znaczy, że nie ma w tym dziwactwie pieniędzy, oczywiście, że są. W końcu ktoś za to wszystko płaci, a jak ktoś płaci, to ktoś zarabia. **Nasz WEI-owy raport** wyliczał koszty w skali Polski na ponad 8 mld złotych – to są koszty raportowania i dostosowania firm do wymogów ESG.

No to kto ma te pieniądze? W komunizmie zyski płynęły do komunistycznego aktywu, tu do najróżniejszych instytucji, fundacji, stowarzyszeń, doradców, audytorów. Wyłudzaczy czy przemytników, jak ich wszystkich swego czasu nazwał amerykański ekonomista Bruce Yandle. W tekście uważanym dziś za klasykę behawioralnej ekonomii „Bootleggers and Baptists” pokazał, że rząd może przyjmując nawet najbardziej irracjonalne regulacje, jeżeli znajdą one wsparcie idealistów i złoczyńców, czyli dosłownie Bootlegers – przemytników i Baptystów, czyli idealistów. Środowiska na co dzień uważane za naturalnych przeciwników, czasem łączą siły dla wprowadzenia zakazów czy regulacji, z których każde czerpie odmienne korzyści. Yandle dał przykład *przemytników i Baptystów, gdzie jedni i drudzy popierają ustawę o zakazie sprzedaży alkoholu w niedzielę. Obie strony chcą zamknięcia lokalnych barów i sklepów monopolowych. Baptysty, bo chcą, żeby ludzie trzeźwi przychodzili w niedzielę na mszę, a przemytnicy, bo wiedzą, że zarobią na kontrabandzie. Politycy też się cieszą, bo mogą zyskać poparcie jednych i drugich, niewiele robiąc.*

Czy ktoś gdzieś, kiedyś powiedział, ile zyskała planeta i my wszyscy interesariusze, na tym, że miliardy poszły na subsydiowanie zielonego przemysłu?

Polecam tekst Yandla, kiedy będziecie zachodzić w głowę po co rząd chce zakazać sprzedaży alkoholu na stacjach benzynowych.

W każdym razie, do forsowania zakazu, przemytnicy wykorzystują moralną argumentację Baptystów. W przypadku ESG sięgają po argumenty aktywistów klimatycznych, działaczy LGBTQ, czy haseł radykalnych feministek, wszystkich naiwnie wierzących, że świat będzie lepszy, jeżeli korporacje zamiast zarabianiem pieniędzy zajmą się wnikaniem w problemy tożsamości seksualnych czy obiegami zamkniętym przyrody. Przemytnicy finansują strony internetowe, piękne wizualizacje, płacą lobbystom, podkupują dziennikarzy i na każdym kroku promują ideologię Baptystów. Ich stać na to, bo w przeciwieństwie do baptystów, robią to dla pieniędzy. Pod altruistycznym językiem progresywnych środowisk realizują swój

precyzyjny plan biznesowy. Chcą przekierować strumień publicznych pieniędzy i astronomiczne wydatki firm na audyty ESG, w swoim kierunku. Ich biznes to produkcja poradników, książek, szkolenie zarządów, pełnomocników do spraw ESG, korporacyjnych rzeczników „antyrasizmu”, „różnorodności płciowej, seksualnej integracji i klimatycznej odporności”.

Zarabiających jest bez liku. Na przykład fundusze oferujące akcje firm ESG pobierają średnio o 40 procent wyższe marże. Producenci oprogramowania oferują specjalne programy do nadzorowania tysięcy wskaźników ESG, firmy doradcze oferują usługi audytorskie, specjaliści od strategii proponują programy naprawcze i monitoring łańcuchów dostaw.

Każda większa instytucja, od Banku Światowego po ONZ musi mieć kontyngent pracowników ESG. I dalej w dół łańcucha pokarmowego polskie instytucje jak KNF, UOKiK stają się świętsze od Baptystów.

Potem dotacje – miliardy dla producentów pojazdów elektrycznych, producentów baterii i firm zajmujących się energią odnawialną. Pieniądze, które nigdy nie zostały rozliczone pod kątem rachunku korzyści i strat. **Czy ktoś gdzieś, kiedyś powiedział, ile zyskała planeta i my wszyscy interesariusze, na tym, że miliardy poszły na subsydiowanie zielonego przemysłu? Wszystko co zobaczyliśmy, to moralny pistolet przystawiony nam do głowy. Dawać, płacić, zrzekać się, ubożać w imię idealistycznych wizji eko-Baptystów.**

Jak w każdym świecie przestępczym, są przemytnicy, przez małe „p”, mrówki, drobni cwaniacy i są przemytnicy przez duże „P”. Wielkie firmy konsultacyjne i politycy, którzy przy okazji wdrażania unijnej agendy ESG tworzą unikalne mechanizmy sterowania społeczeństwem z pomięciem demokratycznego procesu. Zwróćcie uwagę, ile kwestii objętych wskaźnikami ESG w normalnych warunkach wymagałaby decyzji wyborców. Jak pisał Ramaswamy – *coraz więcej dylematów politycznych i społecznych, rozstrzygane ma być teraz przez giełdę, a nie urną wyborczą.*

Czy mamy prawo kierować się upodobaniami seksualnymi przy rekrutacji pracowników, czy

mamy prawo do inwigilacji kont społeczno-ściowych podwładnych, dyskryminowania dostawców reprezentujących odmienne wartości albo demonstrujących swoje przywiązanie do Boga? Wszystko to są rozwiązania, które nigdy nie zostałyby przyjęte w pełni demokratycznym i świadomym głosowaniu. Zostały narzucone firmom w ramach moralnego i finansowego szantażu, przemytników, którzy wymusili rozporządzenia, sprytnie kierując opinią dziennikarzy i entuzjazmem aktywistów.

ESG prezentowane jest jako modelowe rozwiązanie innowacyjne, stworzone na potrzeby transformacji technologicznej. Ponoć nowy cyfrowy świat pełen klimatycznych i społecznych wyzwań potrzebuje nowych modeli funkcjonowania biznesu. I tak jak każda transformacja technologiczna – twierdzą demurzy ESG – tak też kiedyś ta stworzy nowy ład na gruzach starego, a zainwestowane pieniądze wygenerują nowy wzrost gospodarczy. Czy aby na pewno wygenerują? Ekonomiści takie inwestycje nazywają negatywnym szokiem podażowym.

Jak to doskonale opisał francuski ekonomista Jean Pisani-Ferry: *Nakładając cenę na darmowy zasób, w tym wypadku klimat, transformacja sprawia, że koszty produkcji rosną bez gwarancji, że w przyszłości spadną ceny energii i stworzą nowe możliwości inwestycyjne i zwiększą zdolności produkcyjne.*

Już dziś, aby całkowicie zastąpić zużycie paliw kopalnych, przeciętna europejska rodzina musiałaby wydawać średnio 44 procent rocznego dochodu rozporządzalnego na pompę ciepła i 120 procent na samochód elektryczny. W przypadku biedniejszych społeczeństw, jak nasze, oznacza to nawet do 60 procent dochodu rozporządzalnego. I za to nie dostają nic wymiernego, co można uznać za dodatkowy dochód. Nawet jeżeli kiedyś ten myk z klimatem się uda i temperatury zostaną po staremu, to koszty dla przeciętnej rodziny, dla gospodarki będą tak wielkie, że musi to prowadzić do ubożenia. Tu nie ma miejsca na rozwój, tu nie ma miejsca na innowacje. Pieniądże wydajemy na „degrowth” – ubożenie.

W połowie XIX wieku francuski ekonomista Frédéric Bastiat napisał esej o Jakubie Poczcwiacu, którego syn zbił szybę. Poczcwiec

podłamał się, bo nowa szyba miała kosztować sześć franków. Ktoś z tłumu gapiów pocieszał go, że przynajmniej szklarz zarobi. Tyle tylko, że Poczcwiec nie będzie teraz miał sześciu franków, które miał wydać na nowe buty. Czyli zysk szklarza jest stratą szewca, a w konsekwencji kolejno każdego mieszkańca miasta, który nie dostanie jakiegoś zlecenia.

Nawet jeżeli przyjmujemy argument, że wydatki na ratowanie klimatu, tak jak wydatki na obronność czy nową szybę uchronią nas przed czymś gorszym, to czy faktycznie w spodziewanym okresie możemy mówić o poprawie jakości życia? Przeciwnie, w przypadku ESG mamy sporo danych, które dowodzą, że mechanizm nie działa i przed niczym nie zabezpiecza.



ubn.news

Legendarny prezes funduszu Black Rock Larry Fink jako pierwszy postanowił wdrożyć zasady ESG w Ameryce. Zagroził firmom, w których fundusz miał udziały, że obali każdy zarząd, który nie będzie się kierował zrównoważonym rozwojem. Rok później Fink podniósł poprzeczkę, napisał, że BlackRock od teraz *koncentruje się na równości rasowej i sprawiedliwości społecznej, a to wymaga wyjścia poza ograniczenia własnej kultury* – to takie mambo jambo korporatyzmu sugerujące, że rasa, płeć i zapatrywania seksualne mogą czasem być ważniejsze niż talent i pracowitość.

Black Rock miało w swoim portfelu wtedy dziesiątki miliardów dolarów największych funduszy inwestycyjnych i emerytalnych, które wbrew friedmanowskiej zasadzie Flink chciał wykorzystać do swojej ideologicznej krucjaty na rzecz lepszego świata.

Lewicowe media były w euforii. W końcu pierwszy raz kapitalizm przejmował hasła rewolucji marksistowskiej. Rynki jednak nie zareagowały na to entuzjastycznie. Tym bardziej że wyniki funduszy ESG były gorsze od tradycyjnie zarządzanych portfeli. Miliarder Leonard Leo z własnych pieniędzy sfinansował nawet kampanię telewizyjną nawołującą do bojkotu funduszy ESG. Do akcji wkroczyli też konserwatywni gubernatorzy i prezydenci miast, którym podlegają fundusze emerytalne pracowników stanowych. Najpierw Floryda, po niej Teksas wycofały miliardy z funduszy ESG, które *nie traktują poważnie pieniędzy obywateli* – to słowa gubernatora Teksasu Grega Abbota. Indywidualni inwestorzy wycofali w latach 2023–2024 kolejne 14 miliardów dolarów.

Osiemnaście stanów przyjęło przepisy anty-ESG. Według Sustainable Investments Institute zainteresowanie „zrównoważonymi inwestycjami ESG” spadło z 33 procent w 2021 r. do 22 procent w tym roku, przy czym największy spadek dotyczył kwestii związanych z klimatem.

Lary Fink porzucił narrację ESG, a z nim reszta Ameryki szybko wróciła do klasycznej wyceny firm, ale Europa, gdzie swobody rynkowe dawno temu zostały podporządkowane ideologii, uczyniła z ESG swoją doktrynę i ponadnarodowe prawo.

W wywiadzie dla „The Financial Times” holenderski komisarz ds. klimatu Wopke Hoekstra powiedział, że mimo *poważnych obaw ze strony przemysłu, jest przekonany, że Europa może nadal mieć światowej klasy przemysł i najostrzejsze wymogi klimatyczne. Musimy stać na dwóch nogach: jedna noga to działania na rzecz klimatu, druga noga to sprawiedliwa transformacja, konkurencyjność i kwitnąca społeczność biznesowa*. I na koniec dodał, że UE *nie powinna dać się zwieść fałszywej narracji, że można mieć tylko jedno lub drugie*.

Czy faktycznie można mieć jedno i drugie? Z wyliczeń samej Komisji Europejskiej wynika, że redukcja emisji o 90 procent do 2040 roku wymagać będzie przy dzisiejszych cenach dodatkowych inwestycji na poziomie 1,5 biliona euro rocznie. Według konserwatywnych ocen OECD Fit for 55 doprowadzi do spadku PKB na

mieszkańca o 2,1 procent w 2035 r. W Polsce sam tylko ETS2 wymagający między innymi nakładów na wielkie remonty domów to 1560 zł rocznie więcej kosztów dla przeciętnego gospodarstwa domowego. A to z całą pewnością nie zwiastuje dynamicznego wzrostu gospodarczego, o czym boleśnie przekonują się dziś Niemcy. Nie tylko płacą wysoką cenę za zieloną rewolucję, ale też płacą stopniową zapaścią potencjału przemysłowego.

Debatę o sensowności radykalnych rozwiązań utrudnia w Europie niemal religijne przekonanie, że ludzkość nie ma innego wyjścia. Musimy uznać koszty, godzić się na wyrzeczenia, poświęcić kapitalizm, żeby ratować ginącą planetę. Kapitalizm wyrasta tu na wroga numer jeden za sprawą prostej dedukcji, że skoro zapewnił nam rozwój, bogactwo i dobrobyt, to znaczy, że kapitalizm jest odpowiedzialny za zmiany klimatyczne. Nie pozostaje nam nic innego, jak zawrócić świat z tej drogi i szukać ratunku gdzie indziej.

Czy kapitalizm odpowiada za zmiany klimatyczne? Faktycznie na wczesnym etapie industrializacji, zużycie surowców, degradacja środowiska emisja CO₂, szybko rośnie, ale w miarę rozwoju gospodarczego, rosną też ceny surowców, ceny ziemi, wody, wszystkiego włącznie z ludzką pracą. Wzrost gospodarczy wymusza poszukiwanie wydajniejszych technologii i oszczędności na surowcach. To nie przypadek, że największymi niszczycielami przyrody są najbiedniejsze, a nie najbogatsze kraje, państwa na wczesnym etapie rozwoju albo te, gdzie kapitalizm funkcjonuje w szczątkowej formie.

Obserwowaliśmy to na własnym, polskim przykładzie. Dopiero w miarę wzrostu gospodarczego, bogacenia się, zaspokojenia podstawowych potrzeb zaczęliśmy przywiązywać większą wagę do otoczenia. Dopiero zamożniejsze społeczeństwo stać na wydajniejsze technologie, a tego bez kapitalizmu nie da się we współczesnym świecie osiągnąć.

Rok rocznie The Heritage Foundation publikuje raport Wolności Gospodarczej. Okazuje się, że najbardziej urynkowane, wolnościowe państwa mają również najlepszy wynik w indeksie środowiskowym EPI Uniwersytetu Yale.

Najbardziej urynkowane gospodarki mają średnio 76 punktów w indeksie EPI, a kraje „w większości wolne” średnio 70 punktów. I te dwie grupy mają znaczną przewagę nad krajami „umiarkowanie wolnymi”, 59 punktów. Kraje ocenione przez The Heritage Foundation jako „w większości niewolne” lub „represjonowane” mają najgorsze wyniki indeksu efektywności środowiskowej – średnio 46 punktów.

Podobna korelacja istnieje między indeksem EPI a indeksem Banku Światowego Doing Business Index. Kraje najwyższej punktowanej w indeksie OMI „indeksu wolnego handlu” znajdują się w grupie 27 państw najlepiej ocenianych w indeksie EPI.

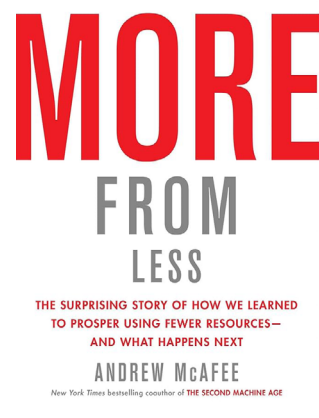
Jak zauważa American Economic Association: *Kapitalizm zapewnia wzrost produkcji przemysłowej, wzrost dobrobytu społeczeństwa i poprawę środowiska naturalnego.* Jak zauważa Terence Keeley w książce „Sustainable: Moving Beyond ESG”. Na 1 proc., wzrostu dobrobytu stężenie zanieczyszczeń spada o około 1 proc., i dodaje, że ESG nie generuje dodatkowego zysku dla firmy ani nie jest katalizatorem zmian środowiskowych.

Kolejny mit, często powtarzany przez wszystkich upatrujących całego zła w kapitalizmie, dotyczy zużycia zasobów naturalnych. Jako-by rozwinięte gospodarki nie tylko najbardziej zanieczyszczały środowisko, ale też najszybciej wyjąławiły je z zasobów naturalnych

Pomijam fakt, że raz już to ćwiczyliśmy, kiedy w 1971 roku środowiska lewicowe w ramach Klubu Rzymskiego wieściły rychły koniec zasobów naturalnych i nawoływały do hamowania postępów rozwojowych. Tym, co uchroniło ludzkość od zagłady, jak na ironię losu był szybszy rozwój, a nie wolniejszy. Więcej kapitalizmu a nie mniej.

Boom lat 80. i rozwój nowych technologii, w tym technologia GMO, pozwoliły pokonać głód na świecie, a lepsze wykorzystanie zasobów zapewniło wzrost dobrobytu. Tamten świat miał się skończyć przed rokiem 2000. Ten nasz... sami państwo wiecie, co roku słyszymy, że właśnie płonie.

To retoryka, a fakty są takie, że współczesne zużycie zasobów naturalnych jest odwrotnie proporcjonalne do wzrostu gospodarczego.



W książce „More From Less” profesora Andrew McAfee czytamy, że wzrost globalnego PKB pozwala na ograniczanie, a nie zwiększanie interwencji człowieka w środowisko i to bez żadnych strukturalnych, a tym bardziej rewolucyjnych zmian w gospodarce czy architekturze społecznej.

Na przykładzie Stanów Zjednoczonych McAfee pokazuje, że konsumpcja zasobów w USA utrzymuje się na stałym poziomie lub nawet spada od lat 80., podczas gdy PKB nadal rośnie. Innymi słowy, Stany Zjednoczone *lepiej konserwują swoje zasoby* dzięki wydajnej technologii i przesunięciu w kierunku usług. To samo dzieje się w innych krajach o wysokich dochodach. Dowodzi, że „zielony wzrost” *możliwy jest wyłącznie przez bogacenie się, a nie przez „degrowth”* postulowany obecnie przez Komisję Europejską.

To nie środowisko naturalne jest naszym problemem, ale ideologizacja klimatu. Tak jak w przypadku literki „S” w ESG, która odpowiada za pro-społeczne zarządzanie ludzkimi zasobami, nie chodzi o poprawę warunków pracy, bo żaden ustrój w dziejach ludzkości nie zrobił tyle dobrego dla podnoszenia jakości życia pracowników co kapitalizm. Tu chodzi o rozmontowanie wolnego rynku i podporządkowanie go centralnej komisji mędrców, eurokratów – naszych europejskich nadzorców. To wszystko w interesie przemysłowców.

TANIEC POZORÓW I FAŁSZYWYCH OBIETNIC PRZED EUROWYBORAMI

Na kilka tygodni przed wyborami do Euro Parlamentu Bruksela maskowała swoje flagowe programy. Odwracała uwagę od Zielonego Ładu, od paktu Migracyjnego. Od wszystkiego, co ma fatalne skutki społeczno-ekonomiczne i wynik wyborczy może popsuć soc-liberałom wielki plan oligopolizacji Europy.

Dziwne rzeczy dzieją się ostatnio w Brukseli, nasi euro-nadzorcy dziwne publikują dokumenty. Jak choćby „Nowa Strategia na lata 2024–2029”. To nie jest zwykły dokument. To raz na pięć lat zdarzenie, w którym Komisja na koniec swojej kadencji wytycza drogę następcom. To naturalne, że Komisja proponuje nowe cele, zaskakuje to, że nie wspomina o tym, co robiła przez ostatnie pięć lat. Tak jakby uznała, że już nic nie ma do zrobienia w kwestii klimatu. W poprzedniej strategii na lata 2019–2024 priorytetowe cele były w dużej mierze kontynuacją wcześniejszych priorytetów. Tymczasem z nowej strategii zniknęła większość tematów, które zajmowały przywódcom Unii najwięcej czasu i energii przez ostatnie pięć lat.

Trzy pierwsze punkty w nowej strategii to obrona granic, konkurencyjność i energetyka. Klimat, który jeszcze do niedawna pojawiał się w każdym dokumencie od mowy nienawiści po

bezpieczeństwo cyfrowe znajdziemy dopiero w drugiej części i to w kontekście wzmocnienia potencjału przemysłowego. Ratowanie bioróżnorodności, które w tym roku wyprowadziło tysiące rolników na ulice europejskich miast, nigdzie nie pojawia się w dokumencie. Zmiana traktatów, co ma być esencją dalszego rozwoju Unii – cisza, sza.

To na swój sposób historyczne opracowanie, gdzie po raz pierwszy Komisja Europejska koncentruje się na tym, co faktycznie niepokoi i czym żyją Europejczycy, a nie tym, czym Komisja uważa, że powinni żyć. Zamiast forsować swoje abstrakcyjne, idealistyczne wizje, Komisja najwyraźniej przejęła się nastrojami obywateli. Szkoda, że wybory są tak rzadko.

Pytanie, kto czego się tu tak naprawdę obawia? Czy konkretni urzędnicy, że przy zmianie proporcji i słabym wyniku soc-liberałów, stracą klawe stanowiska w Brukseli czy dyspozycje o nagłej zmianie frontu nadchodzą z Berlina i Brukseli? Dwa największe kraje mogą wprowadzić do Parlamentu Europejskiego najwięcej euro-konserwatystów.

We Francji prawica zapowiada się na zwycięzcę i to znaczącego. W Niemczech AfD może być

drugą siłą największej narodowej grupy euro-postów.

Nawet jeżeli EPP (partia ludowa) pozostanie największą siłą, to mała szansa, żeby miała w pełni wolną rękę do sterowania dalszą przebudową Europy, Paktem migracyjnym, a nade wszystko zmianą traktatów. O tym, że te wybory są ważne, słyszymy do znudzenia. Ale tak w rzeczywistości wchodzimy w bodaj czy nie najgroźniejszy zakręt od trzech dekad. Odpowiadamy na pytanie, czy Europa będzie oligopolem, gdzie dwa największe kraje tj. Niemcy i Francja z jakimś mniejszym partnerem, jak Polska, Hiszpania, czy Włochy będą o wszystkim decydowały ponad głowami reszty? Gdzie nic w Europie się nie wydarzy bez zgody Berlina i Paryża, i nikt też niczego wbrew im nie zablokuje. To zresztą jest gra obecnej rządzącej koalicji w Polsce. To nieprawda, że nie mają ambicji. Oczywiście, że mają i Donald Tusk całym swoim życiem tego dowodził, pnąc się po piramidzie władzy. **Ambicją może nie jest CPK, atom, doganianie zamożnością Niemiec, ambicje rozumnie jako krzesło przy stole nadzorców Europy.** Przypomnę tylko głośny w Polsce tekst „Berliner Zeitung”, który tłumaczy transakcje między rządem Tuska a Komisją jako deal przedwyborczy.

Innymi słowy, proces polityczny przed wyborami odbywa się w dwóch płaszczyznach – część oficjalna, gdzie zmiana Traktatów i ustroju Europy znika z unijnych priorytetów i więcej słyszymy o ujednoczonych wtyczkach do telefonów czy dotacjach do używanych samochodów niż o prawdziwej cenie tych wyborów, czyli kosztach Zielonego Ładu, ESG dla gospodarki, i traktatach, które w najlepszym razie ustawią nas raz na zawsze w roli junior partnera Niemiec i Francji.

Podobny taniec pozorów odbywa się wokół strategii migracyjnej. Dotychczas we wszystkich oficjalnych strategiach, centralnym elementem polityki migracyjnej Unii było solidarne dzielenie się nielegalami – sławna relokacja. W priorytetach poprzedniej pięcioletki czytaliśmy, że krytyczne jest *godne przyjmowanie osób ubiegających się o azyl*. Dziś Komisja mówi głosem swoich największych adwersarzy z prawicy o: *zobowiązaniu wszystkich państw spoza Unii do przyjmowania i readmisji własnych obywateli i o tym, że należy wykorzy-*

stać wszelakie instrumenty, które mogą okazać się skuteczne w stosownych przypadkach. W Unia Lingua, oznacza to, że cel uświęca środki i wszystko w walce z migrantami ma być teraz dozwolone. *UE nie powinna unikać negatywnych środków, jeśli współpraca migracyjna utknie w martwym punkcie – kolejne zdanie wytrych.*

„Na dziś potrzebujemy więcej kul niż pszczoł.”

W dokumencie widać odcisk konsultacji przywódców państw narodowych w ramach Rady Europy, które prowadził Charles Michel, również zaniepokojony radykalizacją nastrojów przed wyborami, gdzie jak kilka razy miał usłyszeć, że *na dziś potrzebujemy więcej kul niż pszczoł*. Michele mówi rzeczy, które jeszcze rok temu uznane byłyby w Brukseli za antyeuropejskie, skrajnie prawicowe, populistyczne i temu podobne. Na przykład zdanie dotycząca zagrożeń dla rolnictwa ze strony Zielonego Ładu, że celem musi być teraz *zapewnienie naszego bezpieczeństwa żywnościowego poprzez dynamiczny sektor rolnictwa, a nie obronę dogmatów klimatycznych*.

Nawet szef Europejskiego Zielonego Ładu Maroš Šefčovič zamiast jak zwykle mówić o płonącej planecie mówi, że *biurokracja „niszczy naszą piękną planetę”*. Mówi o walce z biurokracją współautor Behemota – tysięcy stron regulacji, zakazów i nakazów Zielonego Ładu, bodaj czy nie najbardziej jak dotychczas interwencyjnego zabiegu biurokratycznego Unii.

Przypomnę, że motyw odbiurokratyzowania w Unia Lingua to tylko sygnał, że program wymknął się spod kontroli, że natrafił na tak wielki opór społeczny, że trzeba szukać drogi obejścia. Tak było przy okazji kryzysu migracyjnego w 2015 roku, kiedy brak przejrzystych przepisów okazał się winien unijnej bezsilności czy później w przypadku COVID-u, kiedy Komisja beczynnie przyglądała się nieskoordynowanym działaniom państw. To oczywiście nie znaczy, że od samego gadania o biurokracji zrobi się mniej biurokracji, przeciwnie, koncentracja na biurokracji pozwala na wdrażanie programu bocznym torem. Mówiłem o tym we wcześniejszych

podcastach – Bruksela nigdy nie rezygnuje z planów centralizacji i zacieśniania urzędniczego uścisku Unii, co najwyżej zmienia nazwę, odsuwa coś w czasie, odwraca uwagę.

Kierunek się nie zmienia, a strategia i priorytety, no cóż, tym zawsze można manipulować. Jeżeli socjalistyczno-liberalna koalicja wygra w czerwcowych wyborach to z nową-starym Komisją wrócą wielkie ideowe konstrukcje i priorytety zostaną „doprecyzowane”. Tym bardziej że klimatycy już biją na alarm, Europejska Agencja Środowiska wieści katastrofę, ostrzega, że nowa polityka zrujnuje planetę, a aktywiści zrobią to, co robią najlepiej. Ale dziś, w oczekiwaniu na wynik wyborczy, Komisja, klimatycy i korporacje liczące na zyski z Zielonego Ładu, siedzą cicho, żeby nie drażnić umiarkowanego elektoratu i nie dokładać cegiełek szybko rosnącym w siłę partiom prawicowym w Europie.

W przypadku nowej strategii migracyjnej lewicowe media mrugają porozumiewawczo do swoich wyborców i tłumaczą zaostżenie przepisów migracyjnych: (...) *presją skrajnie prawicowych partii, zmuszających Komisję do nowych rozwiązań*. Czyli do łagodzenia nastrojów przed wyborami, gdzie już ponad 70 proc. Europejczyków mówi o obawach przed kolejnymi falami migrantów. Na wszelki wypadek, nikt w Brukseli nie mówi o antyemigracyjnej prawicy per faszyści, populiści. I nikt przed wyborami nie powtarza lewicowej mantry o otwartości czy europejskiej misji goszczenia wszystkich skrzywdzonych tego świata. Zresztą doniesienia z frontu walki z gangami migrantów nie zostawiają wiele miejsca na internacjonalistyczne fantasmagorie. Nie wszędzie sytuacja jest równie dramatyczna co w Szwecji, ale z wyjątkiem państw jak Polska, gdzie nielegalni migranci to wciąż margines, niewiele jest miejsc w Europie, gdzie można mówić o korzyściach z polityki otwartych granic.

W ciągu zaledwie dekady Szwecja przebyła długą drogę od kraju z jednym z najniższych poziomów zabójstw w Europie do jednego z najwyższych. We wszystkich zachodnich państwach wskaźniki przestępczości pokrywają się z niekontrolowanym napływem migrantów. Pospolite zbrodnie, gwałty, handel narkotykami, ale coraz częściej obserwujemy też przenikanie

organizacji przestępczych drugiego i trzeciego pokolenia migrantów do państwowych instytucji odpowiedzialnych za dystrybucję rządowych programów socjalnych, gangi kontrolują rady szkolne, kierują domami opieki. W Szwecji zysk gangów z kontrolowanych przez nich instytucji publicznych sięga 6 mld SKr, czyli jakieś 570 mln USD, dwa razy więcej niż handel narkotykami.

Tylko w tym roku Europa przyjmie ponad milion nowych wniosków o azyl, najwięcej od 2015 roku. Mówimy dziś średnio o stu pięćdziesięciu podaniach o azyl rocznie na każdy milion mieszkańców. Przyjmując nawet, że znacząca część z nich otrzyma odmowę azylu, to decyzja przy obecnych okresach oczekiwania nadejdzie za jakieś 3 do 4 lat i to też niewiele zmieni. W samych Niemczech 300 tysięcy osób, którym odmówiono już azylu, dalej pozostaje w kraju, znajdując sposoby na obejście prawa i dostęp do nowych zasiłków.

Najnowsza odsłona tego spektaklu dotyczy paktu migracyjnego. Koncept diskutowany był niemal pięć lat, od początku obecnej Komisji Europejskiej. Zgodnie z przyjętym wreszcie 1000-stronicowym planem procedury azylowe mają być usprawnione, granice uszczelnione, dopuszczone zostaną praktyki przekupywania obcych rządów i policji w państwach, skąd pochodzi najwięcej migrantów, a Komisja, teoretycznie będzie miała prawo wykorzystywać wszelkie środki nacisku, włącznie z sankcjami gospodarczymi czy zawieszaniem pomocy ekonomicznej, żeby wymóc na obcych rządach readmisję nielegalnych. Osobne programy mają finansować działania obcych wojsk torpedujące przepawy własnych obywateli do Europy. Powtarzam **teoretycznie**, bo ani Niemcy nie mają dość siły politycznej, żeby przełamywać opór swoich lewicowych koalicjantów, ani UE nie ma w praktyce dość determinacji do prowadzenia takich działań i najważniejsze do gruntownej przebudowy prawa azylowego. Stąd też na dziś najskuteczniejszym z nowych pomysłów, ma być dobrowolny mechanizm relokacyjny. Czyli przerzucanie nadwyżek nielegalnych migrantów do innych państw Unii. Parlament przyjął akt migracyjny i czeka na decyzje Rady Europy. Premier Tusk twierdzi, że to proforma, bo mechanizm relokacji nas nie obejmie. Obejmie albo

nie, bo nawet premier Tusk o dziwo w tej kwestii liczy, że prawica wymusi po wyborach odejście od zapisów: (...) *zmieni się trochę struktura polityczna PE i wrócimy, tak czy inaczej, do tego tematu* – mówił Tusk.

Co z ustawą o związkach partnerskich? Tusk: Projekt gotowy, ale nie zmuszę koalicjantów do poparcia

Premier Donald Tusk, pytany o projekt ustawy o związkach partnerskich, powiedział, że rządowy projekt jest gotowy. Jednak nie może on zostać złożony, dopóki nie będzie pewności, że poprą go partie, które wchodzi w skład koalicji rządzącej.



forsal.pl

Niemniej wciąż mętna pozostaje kwestia dobrowolności całego mechanizmu – bierzesz emigrantów albo płacisz. Jeżeli prawica będzie znaczącą siłą, to premier ma rację, pakt w tym punkcie pewnie zostanie zmieniony. Jeżeli układ zostanie bez zmian, to pakt zostanie poszerzony o uwspólnianie polityki migracyjnej i uwspólniona została wysokość świadczeń. Czyli azylant w każdym kraju dostaje podobne świadczenia, żeby nie chciało mu się podróżować po Europie. To drastycznie zmieniłoby naszą sytuację, czyniąc Polskę równie atrakcyjnym miejscem relokacji co Szwecja czy Niemcy.

Na dziś nikt w Brukseli nie chce o tym głośno mówić, bo aż 70 procent Niemców krytykuje rząd za nadmierną pobłażliwość i mimo że Alternatywa dla Niemiec (AfD), cieszy się wciąż rosnącym poparciem, Scholtz w kwestii migracji robi to, co von der Leyen w kwestii Zielonego Ładu, czyli zachowuje pozory. Pod koniec zeszłego roku w wywiadzie dla „Spiegla” zapewnił, że 2024 rok przyniesie masowe deportacje. *Nadszedł czas, aby rozpocząć deportację osób odmawiających azylu „na wielką skalę”.* Mija 7 miesięcy i deportacje wciąż pozostają w fazie zapowiedzi.

Wszędzie, gdzie odbywają się teraz wybory, antyemigracyjna prawica wygrywa – wszędzie

od Cypru przez Grecję, Finlandię, po Holandię. Na walce z migracją wyrósł centro-prawicowy rząd Austrii Karla Nehammera, który mówi dziś o budowie antyemigracyjnej koalicji w Europie. *Jesteśmy sojusznikami w walce z nielegalną migracją* – mówi. Od Austrii po Szwecję. W liberalnej Irlandii wzrost przestępczości, ceny najmu mieszkań, pogarszająca się opieka medyczna sprawiły, że rząd przestał gwarantować mieszkania samotnym mężczyznom z Nigerii, Algierii, Afganistanu, Gruzji i Somalii. Jeszcze rok temu byłoby to nie do pomyślenia i tu też nikt nie chce mówić o przywracaniu migrantom praw. Okazuje się, że nie wystarczy już mieć antyemigracyjne poglądy, trzeba działać. Premier Włoch Giorgia Meloni, w Brukseli określana jako skrajna prawica, też traci poparcie, bo mimo rozmaitych wysiłków i zapowiedzi nie zdołała zatrzymać łodzi z migrantami. W sumie liczba nowych migrantów wzrosła o 50 procent i Meloni traci poparcie we własnej partii.

To samo dotyczy budowy granicznych murów. W latach 2014–2023 łączna długość ogrodzeń granicznych w UE wzrosła z 315 do 2 163 km. Kolejne 245 km powstanie w tym roku. Europa powoli zmienia się w twierdzę. I nikt już nie widzi w tym nic zdrożnego. Nawet rząd Donalda Tuska, który wyśmiewał budowę muru na granicy z Białorusią, teraz stał się jego pierwszym budowniczym. Nazywajcie to jak chcecie, ale liberalna lewica w całej Europie czuje się przyparta do muru.

Ursula von der Leyen, przed wyborami, w manifeście wyborczym pisze, że każda osoba ubiegająca się o azyl w UE mogłaby zostać przeniesiona do bezpiecznego kraju trzeciego.

Kiedy przed rokiem Wielka Brytania ogłosiła swój plan relokowania nielegalnych uchodźców do Rwandy, Bruksela krytykowała rząd Sunaka jako nieludzki, niehumanitarny, niezgodny z międzynarodowym prawem. Dziś przed wyborami przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen w manifeście wyborczym pisze, że *każda osoba ubiegająca się o azyl w UE mogłaby również zostać przeniesiona do bezpiecznego kraju trzeciego, aby przejść proces azylowy i otrzymać tam ochronę.*

Charakterystyczne, że pierwsze deportacje z Wielkiej Brytanii do Rwandy przeszły niemal bez echa w Unii. Żadnej krytyki, złośliwych komentarzy ze strony Brukseli. Przeciwnie von der Leyen powiedziała, że plany są *w pełni zgodne z naszymi zobowiązaniami wynikającymi z prawa UE i prawa międzynarodowego*. Tak jak zgodne z unijnymi wartościami okazało się porozumienie między UE a Tunezją. Mimo że tunezyjskie władze aresztują i siłą deportują tysiące migrantów do Algierii, Libii, a część oczekuje na deportacje w libijskich więzieniach, jest łamanie zapisów umowy z UE, ale umowy nikt nie zrywa. Przeciwnie, zostanie przedłużona. Liczba osób przechwyconych na morzu przez tunezyjskie władze podwoiła się w ubiegłym roku do 81 000. Dwie trzecie ze 105 mln euro zadeklarowanych w ramach umowy przeznaczono na zarządzanie granicami. Przewiduje się, że UE wyda 278 mln euro na migrację w Tunezji do 2027 roku.

W 2016 roku UE zawarła pierwsze porozumienie z Turcją, która za 6 mld euro obiecała zatrzymać u siebie uchodźców, umowa była później przedłużana o kolejne zastrzyki gotówki dla rządu w Ankarze. Teraz UE przygotowuje pakiety pomocowe dla Egiptu o i dla Mauretanii, warte 7,4 mld euro co eufemicznie nazywa „dotacją-pożyczką”.

Na papierze wszystko to wygląda na zwarty, konsekwentny plan działania. To, czego w nim brakuje, to zasadniczej zmiany w podejściu do migracji. Odrzucenie kredo liberalnej narracji o obowiązku Europy do niesienia pomocy, do solidarności, do pobłażliwości, do kulturowego relatywizmu. Na dziś jest to bariera nie do przejścia dla wielu liberalnych rządów i z całą pewnością dla Komisji Europejskiej. W wewnętrznych dokumentach w dalszym ciągu czytamy o historycznej odpowiedzialności Europy. Tak jak Zielony Ład, jak na razie zmiany są czysto semantyczne. Jesteśmy w krytycznym punkcie europejskiego przesilenia. Europa nie była równie zagrożona. Tak wiem, to samo powtarzają wam unijni przywódcy, ale to, czego nie mówią, to że prawdziwą przyczyną nie jest jakiś abstrakcyjny faszyzm, populizm, ale całkiem realny rozdźwięk między euro-elitami a Europejczykami. Nigdy nadzorczy, unijna biurokracja nie była tak silna, a obywatele tak słabi i bezsilni w swoich demokratycznych prawach.

Historia uczy nas, że nie ma jednej przyczyny upadku czy wewnętrznej dezintegracji mocarstw – jakby to powiedział Peter Turchin – są jednak wspólne symptomy nadchodzącego krachu. W swojej najnowszej książce „End of Times”, Turchin pisze, że *upadek następuje zwykle, kiedy w jednym czasie i miejscu mamy do czynienia z powszechnym ubożeniem mas i przerostem elit*. Postępująca deindustrializacja, zapaść klasy średniej kontrastująca z rosnącą w siłę euro-arystokracją i jej wizjami oderwanymi od realiów mas, tworzy unikalne warunki do wstrząsów, potencjalnie znacznie groźniejszych niż protesty rolników. Turchin daje całe mnóstwo historycznych przykładów, przedrewolucyjnej Francji, Ameryki przed wyborem Trumpa, Chin dynastii Qing i nawet jeżeli nie skupia się na Unii Europejskiej, to jego niemal matematyczny wzór, dziejowy algorytm, zdaje się doskonale pasować do rozedrganej rzeczywistości współczesnej Europy.

Obiegowa prawda powtarzana za jednym z ojców założycieli Jeanem Monnetem, mówi, że Wspólnota wykuwa się w kryzysach. Co po części jest prawdą, ale tylko po części.

Unia Europejska wyrosła z idei poszanowania różnorodności kulturowej, tożsamości narodowej, wolności słowa i wolności rynkowej, ale w trakcie kolejnych kryzysów, niewybieralne euro-elity zamiast koncentrować się na systemowych rozwiązaniach problemów, wykorzystywały chwile słabości do cementowania władzy, coraz bardziej ograniczając proces demokratyczny.

Obiegowa prawda powtarzana za jednym z ojców założycieli Jeanem Monnetem, mówi, że *Wspólnota wykuwa się w kryzysach*. Co po części jest prawdą, ale tylko po części. Przez ostatnie 10 lat w kryzysach umacniała się biurokracja i instytucje ponad demokratyczne, to prawda, ale rozwój nie dotyczył poprawy jakości życia, które w większości państw Europy Zachodniej pogarszają się co najmniej od 2008 roku. Unia jako przestrzeń ekonomiczna, przestrzeń swobód obywatelskich słabnie, natomiast nieproporcjonalnie do dobrobytu jej miesz-

kańców rośnie władza euro-urzędnicza, ich wpływy i komfort życia. Kolejne idee i regulacje racjonalizujące cedowanie narodowych kompetencji na rzecz Brukseli sprawiły, że Unia stała się zlepkiem destruktywnych idei osłabiających wolności rynkowe, konkurencyjność, czy nawet swobody osobiste. I właśnie ten dysonans między głoszonymi ideałami, forsowanymi rozwiązaniami, a ich wpływem na realne życie sprawił, że cała ta misterna architektura zaczyna się sypać. Partie i opinie niegdyś uważane za skrajnie radykalne dziś odnajdujemy w mainstreamie. Kolejne wybory, w których wygrywają partie konserwatywne, stopniowo przesuwają ciężar z dala od lewicowych euro-elit. Dziś nawet przewodnicząca Ursula von der Leyen śle sygnały do prawicowych środowisk, że widzi przestrzeń do dalszej współpracy. W Wadowicach przypomina o wartościach Jana Pawła II, mówi o słusznych obawach polskich czy niemieckich rolników.

Nasz Europejski Zielony Ład przekształcił walkę ze zmianami klimatu w plan na rzecz wzrostu gospodarczego, czystego przemysłu i sprawiedliwości społecznej. I dalej: Teraz musimy pokazać, że wspieramy nasz przemysł i małe przedsiębiorstwa, aby wdrożyć nasz Zielony Ład. Jak bardzo nie byłyby te mechanizmy destruktywne, tak długo jak ten sam układ polityczny przeważy w wyborach, będą realizowane, bo są jedynym warunkiem postępu euro-centralizacji.

Cały ten sezon Wolności w Remoncie poświęcam Unii Europejskiej, jej postępującej moralnej i ekonomicznej degeneracji. Czytam państwa wpisy pod podcastami, w mediach społecznościowych i widzę, że jest nas więcej. Nie euro-sceptyków, ale wszystkich zaniepokojonych ideologiczną spiralą błędnych decyzji, które sprawiają, że Unia staje się zaprzeczeniem wartości, dla których została stworzona. Ideologiczne obsesje i pazerność euro-elit spychają Europę na peryferie postępu naukowego, globalnego wzrostu gospodarczego i, co gorsza, wykoleją ją świętości zachodniej demokracji – wolność słowa, wola większości, wolny rynek, wolność wyznania. A sami Europejczycy, my wszyscy, no cóż, coraz bardziej marginalizowani, skłócenii, pogubieni w naszych moralnych priorytetach i: *jak każda usychająca cywilizacja* – pisał Arnold Toynabee – *pradawne wartości narodowe i duchowe kompensujemy promiskuitystycznymi rytuałami urastającymi do rangi nowego kościoła*. Nawet jeżeli w przebłyskach świadomości zdajemy sobie sprawę z zagrożeń, to i tak każdy zryw, próba naprawy naszego świata, tonie w ogólnej niemożności. Ale Toynbee mówi coś jeszcze, mówi o cyklu cywilizacyjnym. Każdą odnowę poprzedza *interregnum* – okresem chaosu, absurdów, zapaści, po którym *kreatywna mniejszość opracowuje nowe sposoby działania* – *sposoby, które pozwalają im odepchnąć mocodawców rozpadu*. Ta kreatywna mniejszość to dziś wszyscy, którzy nie mieszczą się w ciasnych ramach seksualnych bojowników, islamskich wyzwolicieli, klimatycznej dekadencji, kultury wykluczenia, agresywnych dryfterów i całego tego ostatniego pokolenia. Kilkaset milionów ludzi, Europejczyków każdy z własnymi marzeniami i własnym pomysłem na życie, które coraz ciężiej im jest realizować, wszyscy gwałtownie potrzebujący zmiany.



Von der Leyen po wizycie w domu Jana Pawła II: mocne przypomnienie o naszych wartościach

W 2024-05-06 20:26 Aktualizacja: 2024-05-07 06:30

Udostępnij przez

POLECAMY

Premiera filmu "Ostatnia wyprawa". Reżyserka: pod koniec życia Wanda Rutkiewicz była samotna, porzucona, wykluczona, nieszczęśliwa [NASZE WIDEO]

Mówi, że rozumie Szwedów, Włochów, przerażonych postępującą degradacją ich miast paraliżowanych kolejnymi falami migrujących mas ludzkich. Właścicielom firm związających biznes w obliczu zawrotnych kosztów energii i podatków obiecuje nowe podejście do klimatu. Trudno powiedzieć, ile w tych słowach jest prawdziwych intencji, a ile tylko gestów, które mają ratować liberalno-socjalistyczną koalicję przed porażką w euro-wyborach. Tym bardziej że w wewnętrznych dokumentach przewodnicząca zapewnia swoich stronników, że niezależnie od wyrazów troski i zrozumienia Zielony Ład trzeba ratować.

TWOJE PODATKI, CZYLI OSTATNI KROK EURO-INTEGRACJI

Największym zagrożeniem dla Unii Europejskiej nie jest dziś ani pakt migracyjny, ani zielony ład, ani nawet przeregulowana gospodarka i stagnacja gospodarcza, ale fiskalna plajta Komisji. Kolejne lata zjedną Brukseli na przejmowaniu kontroli nad naszymi podatkami. Od tego zależeć będzie przyszłość Wspólnoty i los rządów narodowych.

Z perspektywy Brukseli ostatnia kadencja Komisji Europejskiej była całkiem udana. Napięcia społeczne, zapaść produkcji przemysłowej, konsumpcji i pogłębiająca się przepaść względem Ameryki, nie zakłóciły procesu centralizacji i przechwytywania kompetencji państw narodowych przez Komisję Europejską. Przeciwnie, każda kolejna regulacja rozszerzała kompetencje urzędników i pogłębia centralizację. Co, owszem prowadziło do przeregulowania rynku, osłabienia konkurencyjności firm i poziomu dobrobytu, ale za to zwiększało zależność obywateli od unijnych programów redystrybucji i wzmacniało pozycję Brukseli w relacji do demokratycznie wybranych polityków państw narodowych. Innymi słowy, im gorzej, tym silniejsza władza Brukseli.

Za sprawą wielkich platform regulacyjnych Unia rozciągnęła kontrolę praktycznie nad

wszystkimi przestrzeniami naszego życia. DSA, DMA czy AI ACT pokryły całą wirtualną przestrzeń badań i usług cyfrowych, a zespół wspólny z Aktem Europejskich Wolności Medialnych wyznaczyły nam granice wolności słowa i krytyki. Z kolei dyrektywa ESG daje Brukseli bezprecedensowe w dziejach kapitalizmu prawo określania strategii biznesowych i polityki zatrudniania prywatnych firm. Ustawy klimatyczne, jeżeli wyciśniemy z nich komponent przyrodniczo-ideowy, w swojej istocie są niemal doskonałym mechanizmem redystrybucji bogactwa i wpływów politycznych. Kiedy na przykład Bruksela zapowiada nowe opłaty od ogrzewania domów, tzw. ETS2, to z jednej strony rządcom zaleca implementację i tłumaczenie się wyborcom, a sama obiecuje 70 mld euro pomocy ofiarom ubóstwa energetycznego. Jaki sens ma wprowadzanie opłat odstraszających od węgla i gazu, a potem rozdawanie dotacji, żeby likwidować skutki regulacji? A no ten, co każda inna redystrybucja. Ma sens polityczny. Możliwość decydowania o tym, kto dostanie więcej, kto mniej. Cały czas budując nowe lojalności, wpływy i zależności.

Sporo oczywiście jeszcze Unii zostało do zrobienia na drodze do pełnej centralizacji. Wciąż pozostaje kwestia zmiany zapisów traktatowych

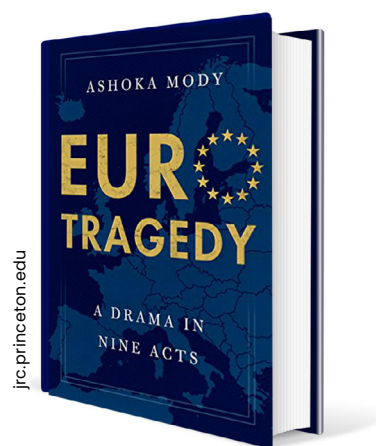
i pozbawienia państw członkowskich prawa weta. Zielony Ład jest już w zasadzie kompletny, choć Komisja musiała częściowo zawiesić rozporządzenie o odbudowie zasobów naturalnych z uwagi na protesty rolników, zwłaszcza, ten nieszczęsny obowiązek ugorowania części ziem rolnych. Ale co się odwlecze... Jeżeli liberalno-lewicowa koalicja po wyborach utrzyma kontrolę nad kluczowymi komisariatami, to do końca kadencji ugorowanie wróci. Przekupią, postraszą, podzielą i rozporządzenie wprowadzą, może nawet w większym zakresie.

W każdym razie z euro-centrystycznej perspektywy ostatnia kadencja była pełnym sukcesem. Natomiast z aksjologicznego punktu widzenia, w ciągu tych pięciu lat Europa stała się nowym bytem. Integracja europejska jeszcze dziesięć lat temu rozumiana jako proces harmonizacji gospodarczej, dziś jest procesem całkowicie politycznym. Pierwotny zamysł, że znoszenie barier, otwieranie rynków zapewni wzrost zamożności, jakości życia, co przełoży się na poparcie obywateli dla dalszej federalizacji Europy, nie wypalił. Od 2004 roku i poszerzenia Unii o 10 państw Europy Środkowej, komisja głównie zajmowała się ujednoczeniem prawa i niwelowaniem różnic między wschodem a zachodem, co skończyło się przeregulowaniem rynku i zduszeniem konkurencji. Także po kryzysie 2008 roku Europa nigdy tak naprawdę nie wróciła już do czasów ekspansji gospodarczej z przełomu wieku. Firmy traciły dawną vitalność, a Europejczycy przestali się bogacić.

Ostatnie 15 lat to tak naprawdę dryfowanie i zarządzanie nieustannymi kryzysami, które Komisja uznała, że najlepiej to rozwiąże, pozabawiając państwa narodowe krytycznych kompetencji. I trzeba naszym nadzorcom to oddać, dokonali imponującej konsolidacji władzy, która skąd inąd nie przekłada się na budowę ani bogatszej, ani nawet spójniejszej Unii.

Zadania wyznaczane państwom w kwestii chociażby dostosowań klimatycznych czy programów energetycznych, nawet jeżeli osiągną kiedyś swój cel to zamiast zbliżyć kraje do siebie, stają się zarzewiem nowych podziałów. Pierwszy lepszy przykład z brzegu – Niemcy czy Dania, liderzy, zarówno technologii, jak i produkcji czystej energii. Oba kraje wykorzystują swoje przewagi finansowe do produkcji nadwyżek czystej energii, które dalej sprzedają niżej roz-

winiętym państwom, jak chociażby Polska. To, co zarobią, inwestują w jeszcze nowsze technologie i jeszcze większe przewagi nad innymi państwami członkowskimi. To samo dzieje się, jeżeli chodzi o pompy ciepłe, pod które lobbowano zakaz ogrzewania gazem czy samochodów elektryczne i planowany zakaz samochodów spalinowych. Teoretycznie wielkie ambitne plany Unii są realizowane, ale jednocześnie pogłębiają dysproporcje między państwami członkowskimi.



Problem znany jest od lat jako paradoks nierównej rywalizacji. Pierwszy pisał o tym Ashoka Mody w „EuroTragedii”, gdzie zauważył, że brak unii fiskalnej i jednego skarbu państwa sprawia że *kolejne działania integracyjne, a zwłaszcza walutowe – wspólny pieniądź – jak na ironię losu prowadzą do większych podziałów i wzajemnych niechęci zamiast do integracji.*

Przed wyborami do Parlamentu nasza uwaga w oczywisty sposób koncentruje się na wielkich programach regulacyjnych, których skutki do nas dopiero docierają. Jesteśmy w szoku po tym, jak przyjęto Pakt Migracyjny, studiujemy morze zapisów Zielonego Ładu, przemysł wciąż zmagają się z ESG, a usługi cyfrowe nie mogą ochłonąć po wprowadzeniu Aktu o Sztucznej Inteligencji cofającego europejski potencjał innowacyjny o kilka lat w rozwoju.

Ale dla Brukseli to są już drugorzędne kwestie. Wyzwaniem jest Unia Fiskalna, niezależne zaplecze finansowe Komisji, ponadnarodowy skarb Unii. Coś, bez czego w przyszłości ciężko będzie marzyć o pełni władzy centralnej w Europie, nie mówiąc o realizacji ambitnych ideowych programów. Stąd też, to co czeka nas

w kolejnych latach, to wielka wojna urzędników o przejmowanie podatkowych kompetencji państw narodowych. Nie od razu, nie wszystkich naraz, ale krok po kroku. Niezależnie od zmian w traktatach, to będzie wymagało całego mnóstwa nowych instrumentów wspomagających choćby cyfrowe euro, które w miejsce papierowego pieniądza pozwoli centralnie zawiadywać rynkiem, no i wmuszenie euro tym kilku wciąż opornym państwom.

Obecnie cały budżet UE wynosi niespełna 190 miliardów euro. Czyli jakiś 1 procent wartości produktu 27 krajów, z tego 33 procent idzie na dotacje dla rolnictwa, kolejne 30 proc. na inne stałe zobowiązania. W efekcie niewiele zostaje Komisji na redystrybucję, wokół której mogą się jednoczyć Europejczycy. Istnieje oczywiście coś takiego jak Wieloletnie Ramy Finansowe, ale to tylko częściowe uzupełnienie budżetów krajowych. Za mało na finansowanie niezależnych centralnych projektów, flagowych inicjatyw w ramach ambitnych celów zielonej rewolucji, cyfryzacji czy transformacji energetycznej, nie mówiąc o nowych programach wspólnej strategii przemysłu obronnego. Do tego jeszcze wróć.

Patrząc na to chłodno, można powiedzieć, że Bruksela stworzyła model Europy, który sięgnął kresu swoich możliwości. Komisja przed wyborami robi dobrą minę do swojej gry, ale to może być przełomowa kadencja. Nie tylko ze względu na propozycje poszerzenia Unii o nowych członków, ale przede wszystkim zmiany modelu finansowego i stworzenie wspomnianego ponadnarodowego skarbu Unii. To będzie kluczowe dla przyszłości tego wielkiego urzędniczego projektu. Uwagę na to zwracał już jeden z ojców założycieli Unii, włoski komunista Altiero Spinelli współautor Manifestu Ventotene, w którym rysował obraz idealnej Federacji i kwestie finansowania, kwestie wspólnych zasobów umieścił bardzo wysoko w swoim planie, na równi ze stworzeniem wspólnej waluty. Coś, bez czego projekt według niego nie miał prawa się powieść.

Swego czasu profesor Christopher Hill z London School of Economics pisał o niebezpieczeństwie dezintegracji europejskiej, że *Powstał byt, którym kieruje jedno centrum instytucjonalne o zbyt szerokich kompetencjach, ale niedostatecznej legitymizacji i niedostatecznych zasobach.*

Kwestia legitymizacji władzy, jak już powiedziałem, została pośrednio rozwiązana za pomocą prężierza regulacyjnego nałożonego rządowi narodowym i masowymi dotacjami, które mają dawać wrażenie dobrobytu i zapewniać wyrazy wdzięczności dla Komisji Europejskiej. Pozostaje kwestia zasobów. Coś, czego Komisja nie ma, nie dysponuje własnymi pieniędzmi i nie bardzo wie, jak to przeprowadzić.

Na świecie mamy oczywiście przykłady minimalistycznych rządów, gdzie państwo z ograniczonymi zasobami bywa bardzo efektywne. Kraje jak Estonia czy Nowa Zelandia delegują większość swoich aktywności, posiłkują się prywatnymi firmami i organizacjami społecznymi. To wymaga jednak szerokiej partycypacji obywatelskiej i aktywnych mechanizmów demokratycznych, coś, co nie jest częścią unijnego modelu. Unia Europejska zbudowana została na wzór Wolterowskiej monarchii oświeconej, koncept wyłożony w serii esejów „Listów Filozoficznych”, gdzie Wolter opisał idealny model rządów merytokracji, mędrców chroniących podstawowe prawa obywatelskie, sterujących handlem, produkcją przemysłową, ale wolnych od demokratycznej kontroli. Powoływanych, ale niewybiranych i nierecenzowanych. System, gdzie każdy aspekt życia kontrolują światłe elity, a masy podążają za duchem wytycznych, ufając, że to jedyna i najlepsza droga do ich dobrobytu.

Problem pojawia się, kiedy elity nie są w stanie dowieźć ani dobrobytu, ani gwarancji bezpieczeństwa. Tracą kontrolę nad granicami, załew migrantów zagraża bezpieczeństwu miast, systemowi opieki zdrowotnej, szkołom, a przeregulowany rynek zabija wysoko płatne miejsca pracy.

Wtedy jedynym gwarantem stabilności władzy mogą być własne fundusze. Budżet niezależny od decyzji państw, za pomocą którego urzędnicy będą mogli realizować swoje wielkie ideowe wizje wspierane programami redystrybucji zapewniającymi lojalności mas.

Były prezes Europejskiego Banku Mario Draghi mówiąc o potrzebie stworzenia nowego fiskalnego modelu Europy, zwrócił uwagę, że Europa nie ma dziś żadnego pomysłu na siebie: *Nie istnieje już dawny geopolityczny, ekonomiczny*

model, na którym Europa opierała się przez ostatnie kilkadziesiąt lat, kiedy to bezpieczeństwo powierzaliśmy Amerykanom, całą naszą produkcję kupowały Chiny, a Rosja dostarczała tanią energię. Wszystkie trzy filary runęły w jednym czasie, zostawiając Europę z przeregulowanym, niekonkurencyjnym rynkiem, wysokimi kosztami pracy, kurczącym się dobrobytem mieszkańców. I Unia fiskalna, gdzie Komisja dysponuje własnymi zasobami i dyryguje rozwojem całej wspólnoty, jest na dziś jedynym pomysłem europejskiego renesansu. Nie chcę wchodzić teraz w dyskusję czy taki model kapitalizmu państwowego ma szansę rywalizować z dynamicznie rozwijającą się Ameryką i Azją, ekonomiści mają tu wątpliwości. Jak zauważył Paolo Gentiloni, europejski komisarz ds. gospodarki: *Jeśli Europa ma nawet najlepsze regulacje, ale nie będzie miała firm, to nikt nie uwierzy w nasze zwycięstwo. Ale innego pomysłu na Europę w Brukseli nie ma.*

Europa nie ma strategii finansowania nowego modelu gospodarczego ani też nie może przejąć roli polityki krajowej, ponieważ europejskie przepisy fiskalne i dotyczące pomocy państwa ograniczają zdolność krajów do niezależnego działania.

Niedawno na łamach „The Economist” wspomniany Mario Draghi, napisał: *Europa nie ma strategii finansowania nowego modelu gospodarczego ani też nie może przejąć roli polityki krajowej, ponieważ europejskie przepisy fiskalne i dotyczące pomocy państwa ograniczają zdolność krajów do niezależnego działania.*

O co chodzi? Otóż twórcy modelu gospodarczego Unii, wierząc przed laty, że integracja Europy będzie miała charakter ekonomiczny, a nie polityczny, oparty na pogłębianiu wolnego rynku, twórcy pilnowali, żeby w miarę możliwości ograniczyć interwencjonizm państwa, tak żeby bogatsze kraje nie mogły wspierać swoich firm i w ten sposób zmonopolizować rynku europejskiego. Pomijam fakt, że i tak się to dzieje, nie udaje się wszystkich upilnować, ale co do zasady Unia nie ma dziś możliwości wspierania firm, nawet gdyby miała czym.

Stąd pomysł unii fiskalnej z odrębnym zapisem w traktatach, że Komisja jako jedyna może prowadzić aktywną politykę stymulacji gospodarczej. Paolo Gentiloni do listy zadań dla kolejnej Komii

sji dodał stworzenie centralnego skarbu Unii. Co zresztą gorąco wspiera Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy. Jak to zrobić?

Najprostszym sposobem byłoby zwiększenie składki członkowskiej. Przy czym najwięcej znowu musiałyby płacić bogate kraje, które jak Niemcy obecnie są w stanie silnej zapaści, nie tylko ekonomicznej, ale są też w samym środku wewnętrznego kryzysu politycznego i rosnąca w siłę AfD nawet nie chce słyszeć o nowych składkach w Unii, podobnie zresztą jak przodująca w sondażach partia Le Penn we Francji czy prawica Wildersa w Holandii. Niezależnie od tego czy Bruksela byłaby w stanie znaleźć poparcie dla wyższych składek, to dyskusja na ten temat może się zacząć dopiero w 2027 roku zgodnie z harmonogramem nowej perspektywy na kadencję po 2029 roku. Oczywiście istnieje możliwość skrojenia dedykowanych budżetów na konkretne priorytety, ale i tu nie widać woli do rozmów. Zresztą Komisja raz już próbowała ustanowić specjalne składki celowe. I to było zanim jeszcze w sondażach centro-lewica zaczęła dołować. W bólach, ale udało się przeforsować 66 miliardów ekstra w tym 33 miliardy euro pożyczek i to też tylko pod pretekstem zwiększonej pomocy Ukrainie. W tej sumie nowych pieniędzy było zaledwie tylko 21 miliardów euro, reszta pochodziła z oszczędności z innych funduszy.

To, co na dziś wydaje się najbardziej realne, to przejmowanie przez Komisję Europejską wpływów ze sprzedaży aukcyjnej ETS – to jest jakieś 35 mld euro i opłat ETS2, szacowanych na kolejne 30 mld, przy czym pieniądze z ETS2 popłyną dopiero w 2028 roku i to wąskim strumykiem z uwagi na najróżniejsze okresy przejściowe. W przypadku ETS większość, jakieś 70 proc. wpływów, wykorzystywane jest na rozwój energetyki odnawialnej i efektywności energetycznej. Gdyby fundusze przejęła Komisja, to musiałaby również przejąć choćby częściowy nadzór nad krajowymi inwestycjami w energię odnawialną. Co, jak sądzę, robi z ochotą.

Kolejny pomysł na zasilanie skarbca Unii to podatek od śladu węglowego ściągany od importerów, którzy musieliby odprowadzać dodatkowe opłaty od towarów wytworzonych z użyciem CO₂. Podatek CBAM według Komisji w 2028 roku powinien wygenerować 46 mld euro.

Pytanie tylko czy cokolwiek wygeneruje, czy ostatecznie nie będzie nas więcej kosztował, kiedy kraje jak Chiny czy Indie i Brazylia faktycznie wpro-

wadzą w odpowiedzi retorsji handlowych na europejskie produkty. O nowych podatkach w Unii przygotowujemy w WEI odrębny szczegółowy raport, ale, nawet gdyby to poszło zgodnie z założeniami, to pierwsze pieniądze pojawią się dopiero pod koniec 2028 roku. Łącznie mówimy o jakichś 90 mld wpływów ekstra. Sporo, ale wciąż za mało, także Komisja tu się nie zatrzyma.

Część państw w tym Estonia chce, żeby Unia Europejska wyemitowała euroobligacje w celu zainwestowania na przykład w obronność i udzielenie pomocy Ukrainie. Na rozmaitych gremiach pojawia się też pomysł podzielenia podatku VAT na część narodową i unijną, co może i byłoby stosunkowo proste do wprowadzenia, ale najtrudniejsze do przeprowadzenia politycznie, bo oznaczałoby to albo skurczenie wpływów budżetowych państw narodowych, albo ogólną podwyżkę podatków. Jest też pomysł na innowacyjny podatek, gdzie Komisja w imieniu państw członkowskich zaciągaby dług na rynkach kapitałowych, ale nie z intencją spłaty go przez państwa narodowe, tylko pod zastaw zasobów wygenerowanych ze wspomnianych opłat klimatycznych. Korzystając z wysokiego ratingu – potrójne AAA, mogłaby te pieniądze pożyczać dalej na wyższy procent państwom, które na co dzień mają gorsze warunki kredytowe.

Wszystkie te projekty mają jeden podstawowy feler. Nie ma dziś w Europie pogody na udzielenie Komisji większych prerogatyw finansowych, na podnoszenie składek czy zaciąganie długu przez Brukselę.

Dziś Unia Europejska to w większości centrowprawicowe rządy, takich lewicowo-liberalnych koalicji jak w Polsce jest coraz mniej. A prawica jak to prawica, dąży raczej do ograniczenia roli państwa niż szukania nowych sposobów na poszerzanie wpływów Brukseli.

Jeżeli jest coś, co może zmienić nastawienie państw europejskich to chyba tylko wojna i potrzeba zbrojeń. W ostatnim czasie Komisja przedstawiła dwa programy podnoszenia europejskiej odporności zbrojnej. EDTIB zasobów obronnych i EDITS strategii przemysłu obronnego. Planowane jest nawet powołanie nowego urzędu Komisarza do koordynacji wysiłków

zbrojeniowych. Teoretycznie wszyscy wiedzą, że bez centralnego budżetu europejski przemysł zbrojeniowy pozostanie sfragmentyzowany i ciężko będzie mówić o europejskiej odporności obronnej. Wszyscy o tym wiedzą, ale nie wiedzą, jak to zmienić.

Ostatnie kilka tygodni kierowałem w Brukseli grupą studyjną opiniującą propozycje Komisji. Tak jak pozytywnie zaskakująca była jedność różnych środowisk i państw, i samej Komisji co do konieczności stworzenia nowych mechanizmów rozwoju zbrojeń, tak porażająca była bezradność co do mechanizmów finansowania. Na cały program europejskiej strategii przemysłu obronnego do 2026 roku wyasygnowano półtora miliarda euro. Przy obecnych nakładach w państwach narodowych na przemysł obronny – 70 mld rocznie to nie jest dużo.

The screenshot shows the European Commission website for the Defence Industry and Space (EDIS) section. The page title is "EDIS Joint Communication". Under the "Details" section, it lists the "Publication date" as 5 March 2024 and the "Related department" as the Directorate-General for Defence Industry and Space. In the "Files" section, there is a document titled "5 MARCH 2024 EDIS Join communication" in English, with a size of 455.29 KB and a PDF format. A "Download" button is visible next to the file name. At the bottom, there are social media sharing options for X, Facebook, LinkedIn, and Email, along with a "More share options" link.

Komisja w swoim dokumencie mówi o potrzebach, ale nie proponuje żadnego mechanizmu finansowania. W mediach pojawiała się suma 100 miliardów euro, które miałyby pochodzić z nowego ogólnoeuropejskiego długu. Coś na podobieństwo funduszu Next Generation EU z 2020 r. który miał rewitalizować unijne gospodarki po kryzysie pandemicznym. Jednak fatalne doświadczenia z zarządzaniem, nadmierną biurokracją, opóźnieniami i to jak fundusz był wykorzystywany do szantażowania państw i wymuszania na nich politycznych ustępstw, sprawia, że nikt pomysłu oficjalnie nie zgłosił i nikt przed wyborami tego nie zrobi.

Nie wiem ile razy cytowałem tu Jaena Moneta i jego teorię, że Europa wykuwa się w kryzysach, ale w samej Unii istnieje głębokie przekonanie, że to tak działa. Bez kryzysu nic się w Unii nie dzieje. Stąd tak wielką rolę nagle we wszystkich instytucjach Unii zaczęły odgrywać wspomniane projekty zbrojeniowe. Nie chcę, żeby to zabrzmiało jak teoria spiskowa, ale nagła zmiana frontu Berlina, Paryża, determinacja do obrony i budowanie poczucia totalnego zagrożenia tworzy idealne otoczenie kryzysowe.

Teraz, żeby była jasność. To, co dziś dzieje się na Ukrainie, postępy rosyjskich wojsk, jest ze wszech miar groźne i niepokojące. Ale czy nie tak było, kiedy Rosjanie znaleźli się kilkanaście kilometrów od Kijowa w 2022 roku, a Macron dalej ucinął sobie pogawędki z Putinem? Nikt nie mówił wtedy o programach zbrojeniowych, o mobilizacji. Przeciwnie, mówiono o szybkim pokoju, o nieantagonizowaniu i nieeskalowaniu napięć.

Dziś nikt nie mówi o pokoju, mowa jest o szykowaniu się do wojny. Jak blisko muszą podejść Rosjanie, żeby powstał kolejny extra budżet? Co musi się jeszcze stać, żeby niezależnie od składu nowego parlamentu, przyklepana została Unia fiskalna, bez której, nie tylko nie będzie pieniędzy na wielkie programy zbrojeniowe, nowy urząd komisarza do spraw obrony, ale też polegną wielkie projekty jak Zielony Ład? Pokuśsa do wykorzystania wojennego straszaka jest ogromna, ale też błędy, jakie można przy tej okazji popełnić... strach pomyśleć.

Swego czasu doskonały bułgarski filozof Ivan Krastev sam zresztą wielki orędownik UE, napisał o możliwej dezintegracji Unii: *Dezintegracja nie musi być efektem zwycięstwa sił antyunijnych nad prounijnymi. O ile nastąpi, będzie prawdopodobnie niezamierzoną konsekwencją paraliżu Unii pogłębionego błędną interpretacją dynamiki politycznej przez euro-elity.* Eskalacja napięć nie musi być efektem realnego zagrożenia, może być wygenerowana dla przełamania wewnętrznej bezsilności autokratycznych elit, nerwowo szukających sposobu na odzyskanie utraconego zaufania.



Wesprzyj
kanał
WOLNOŚĆ
W
REMONCIE
na



PATRONITE



patronite.pl/wolnoscwremoncie

**Korekta i skład:
Anna Śleszyńska**

Zdjęcia: Canva.com

**Użyto czcionek:
Poppins, Staatliches**



**Warsaw Enterprise Institute
Al. Jerozolimskie 30/7
00-024 Warszawa**